

MIESIĘCZNIK

POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ

Nr 8 (140)

Rok XII

ISSN 1640-8411

sierpień 2009 roku

J111 03221

Fot. Michał Lesniewski

Miasto podglądaczy (str. 18)

Uczelnie dawniej



ju.03221

Ulicami przechadzają się panowie w surdutach i panie w kłozowych spódnicach z imponującymi kapeluszeniami na głowach. Na fotografiach widać nowe gmachy, których nie pokryła jeszcze patyna czasu. W Muzeum Politechniki Warszawskiej pod koniec maja otwarto wystawę „Wyższe szkolnictwo w Polsce międzywojennej”.

Ekspozycje prezentowane w sali gmachu Aerodynamiki pochodzą przede wszystkim ze zbiorów prof. Mirosława Nadera, niestrudzonego kolekcjonera wszelkiego rodzaju dokumentów związanych głównie z Politechniką. Tym razem jednak można obejrzeć cymelia pokazujące wygląd i życie polskich przedwojennych uczelni. Tym bardziej że do roku 1939 oprócz Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego w granicach Polski znajdowały się również takie uczelnie, jak na przykład Politechnika Lwowska, Uniwersytet Jana Kazimierza – również we Lwowie – oraz Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie.

Spśród kilkuset dokumentów, pocztówek i rycin można wymienić takie ekspozycje, jak politechniczne insygnia dziekańskie z roku 1925, dyplom Inżyniera Dróg i Mostów Stefana Krzyrkowskiego z 31 sierpnia 1928 roku, zaproszenie i cennik na XIX bal „Warszawa swej Politechnice” dla pana Stanisława Rozwadowskiego z 11 lutego 1939 roku. Wśród dokumentów związanych z wileńską uczelnią znajdują się między innymi „Zaproszenie do Uniwersytetu S. Batorego Ku Uczczeniu Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego” z 19 marca 1935



roku oraz rocznik Uniwersytetu Batorego w Wilnie z lat 1938–1939. Wspomnienie o lwowskich uczelniach stanowią „Świadcstwo Kolołkwjalne” Czesław Wassemanówny z 14 marca 1930 roku oraz dołączony do dokumentu doktorskiego odcisk pieczęci Akademii Weterynaryjnej we Lwowie w puszcze ze sznurami.

Jednak o tym, jak wyglądało szkolnictwo w okresie międzywojennym, najdobitniej chyba świadczy wydany 27 kwietnia 1934 roku duplikat dyplomu magistra filozofii wydany Stanisławowi Wiktorowi Łukaszowi Berzowskiemu, który „odbył przepisane studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Filozoficznym w zakresie geografii”. Trudno sobie wyobrazić taką sytuację na dzisiejszych uczelniach. O tym, że studenci korzystali z ulgowych przejazdów już w latach 30., można się przekonać czytając zaświadczenie szkolne wydane Jarosławowi Janczakowi, studentowi I roku Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, mówiące, że „ma prawo do nabycia za połowę normalnej ceny biletów klasy II lub III na przejazd z powodu wakacyj letnich”.

Wszystkie dokumenty i publikacje zebrane na wystawie oddają klimat studiów i sposobu nauczania na polskich uczelniach w okresie międzywojennym. I to nie tylko legitymacje i dyplomy, ale również zaproszenia na bale akademickie oraz pocztówki z wizerunkami uczelni, które tak naprawdę – przynajmniej z zewnątrz – nie zmieniły się zbyt, zachowując swój historyczny wygląd. Warto poświęcić kilka chwil, żeby zapoznać się z tymi historycznymi pamiątkami.

Wystawa będzie otwarta do 30 września 2009 roku.

Tekst i zdjęcia: mile

- **TEMAT MIESIĄCA** – („Mazowieckie staruszki”). Nie trzeba jeździć po świecie, żeby dokładnie poznać historię motoryzacji. Wystarczy jeden aktywnie spędzony dzień, aby przewędrować sto lat, poczynając od dorożki z „balkonem”, poprzez polskie przedwojenne prototypy, na całkiem współczesnych samochodach gwiazd i polityków kończąc 6–11
- „Blyszczący przedmiot pożądania”. Bursztyn – piękny, magiczny, niezwykły. Do dzisiaj jest nie tylko ozdobą, przypisuje mu się również właściwości lecznicze 2–3
- „Gorąca patelnia”. Żar, duchota, krajobraz płaski jak stół, wielopasmowe, jasne autostrady, ogromne hamburgery, pająki i... Czyli subiektywne spojrzenie na Teksas 4–5
- „Opowieść o dwóch fabrykach”. W jednej powstawały znane warszawskie pomniki, w drugiej... najbardziej znane w stolicy ciastka i herbatniki..... 12–13
- „Moda akademicka”. Togi, birety, berło. Zazwyczaj można je obejrzeć przy okazji uroczystości związanych z uczelnią. Przybliżyliśmy elementy oficjalnych strojów akademickich 14–15
- **POSTACIE** – Marek Polak. Przez wiele lat pracował na Dalekim i Bliskim Wschodzie. Uważa, że był to najbardziej intensywny i wartościowy okres w jego życiu 16–17
- „Miasto podglądaczy”. Goszcząc w stolicy Słowacji, Bratysławie, jesteście nieustannie podglądani. Na szczęście nie czynią tego kamery monitoringu miejskiego, lecz kilkaset rzeźb ustawionych w różnych miejscach miasta 18–19
- „Czas na wypoczynek”. A może zamiast wyprawy do egzotycznych krajów wybrać słodkie lenistwo w ośrodkach wypoczynkowych Politechniki? 20–21
- **ABSOLWENCI PW** – Maciej Ostrowski. Podpułkownik rezerwy, synoptyk z wykształcenia i z zamilowania, ekspert komisji badania wypadków lotniczych 22–23
- „Na pograniczu”. Czy możliwe jest wyznaczenie granicy między nauką a paranauką? Czy istnieje szansa na współpracę przedstawicieli tych dziedzin i co mogłoby z niej wynikać? 24–25
- „Wielkie poruszenie”. Skąd wiemy, że to, czego dotąd nie odkryto, nie istnieje? A może istnieje, tylko po prostu brakuje nam pokory? 26–27
- Recenzje książek, informacje wydawnicze Oficyny PW, ciekawostki naukowe 28–29
- **SPORTOWCY POLITECHNIKI** – Lacrosse, mało znany sport, „wynaleziony” przez północnoamerykańskich Indian, zdobywa uznanie również w naszym kraju 30–31
- Prasa akademicka pisze 32

MIESIĘCZNIK POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ PISMO SPOŁECZNOŚCI AKADEMICKIEJ PW

Rada MIESIĘCZNIKA PW: prof. Maciej Grabski – przewodniczący, Arkadiusz Orczykowski, prof. Jacek Czajewski, dr Sergiusz Dzierzgowski – sekretarz, prof. Małgorzata Kujawińska, prof. Tadeusz Rzeżuchowski.

Wydawca: Politechnika Warszawska, Plac Politechniki 1, 00-664 W-wa.

Redagują: Iwona Kolińska – redaktor naczelny (miespw@ca.pw.edu.pl), Zespół: Anna Abramczyk – (mies.pw@ca.pw.edu.pl), Joanna Kosmalska – (j.kosmalska@ca.pw.edu.pl), Michał Leśniewski – (prasa@ca.pw.edu.pl), Joanna Majewska – (j.majewska@ca.pw.edu.pl), Zbigniew Zajac – (red_mpw@ca.pw.edu.pl). Stali współpracownicy: Ewa Chybińska, Jędrzej Fijałkowski.

Adres redakcji: ul. Polna 50, 00-644 Warszawa. Telefony: 234-54-87, 234-57-31, fax 234-57-30. Adres internetowy: http://www.mpw.pw.edu.pl

Łamanie i druk: Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, ul. Polna 50, 00-644 Warszawa, tel. 234-75-03.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji, redagowania i skracania tekstów oraz zmian tytułów. Nie wszystkie poglądy autorów tekstów zgodne są z przekonaniem Redakcji. Niektóre mogą stanowić zaproszenie do dyskusji dla wszystkich chętnych. Przedruk ilustracji i tekstów oraz ich fragmentów możliwy wyłącznie z zgodą Redakcji.

Błyszczący przedmiot pożądania

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedzioma lasami, gdzieś na końcu świata ktoś – kto, tego się pewnie nigdy nie dowiemy – zwrócił uwagę na lekkie, nieforemne grudki dziwnego kamienia, który po oszlifowaniu błyszczał jakby ukrytym w jego wnętrzu światłem.

Grecy wierzyli, że to pot słońeczny, spływający do wód oceanu, kiedy słońce kończy swoją dzienną wędrówkę i chowa się w falach na końcu świata. Według innej legendy to zastygła piana morska, unosząca się na fali.

W legendach bywa ziarno prawdy. Największe złoża bursztynu do dziś znajdują się u wybrzeży Morza Bałtyckiego. W Polsce – w Zatoce Gdańskiej i u nasady Mierzei Helskiej. Dla ludzi żyjących w basenie Morza Śródziemnego to był kraj świata.

Przyrównanie bursztynu do piany wynikało z faktu, że jest on niezwykle lekki. Jego gęstość porównywalna jest to gęstości wody morskiej, stąd unosi się w słonej wodzie, podczas gdy w słodkiej najczęściej opada na dno. Prądy morskie powodowały wyrwanie z dna kawałków bursztynu, które potem fale przynosiły do brzegu.

I jak tu nie wierzyć legendom!

Towar luksusowy

Wędrując przez puszcze, przeprawiając się przez brody na zagradzających drogę

Ma wiele barw: od białej, poprzez odcienie żółci, brązu do ciemnej czerwieni. Bywa także czarny. Rzadkie okazy bursztynu mają kolor niebieskawy lub zielonkawy.

rzekach, starożytni handlowcy docierali nad Bałtyk. Zarówno w „nasze” rejony, jak i nieco dalej, do – nazywanej wówczas Samland – Sambii,

krainy historycznej leżącej w Prusach między Zatokami Wiślaną i Kurońską. Prawdopodobnie główna nitka szlaku bursztynowego wiodła przez Bramę Morawską, Śląsk, Wiślą do Truso – osady leżącej niedaleko dzisiejszego Elbląga, nad Zatoką Bałtycką i dalej, do Gdańska.

Najpierw, jak to na ogół bywa, wywożono znad Bałtyku surowiec, dopiero póź-

Jantar to litewska nazwa bursztynu. W Europie nazywamy byt także ambrem. Rzymianie mówili o nim elektrum, a Grecy elektron.

niej, wraz ze wzrastającym popytem, obok przemysłu wydobywczego pojawiły się zakłady przetwórcze. Tym bardziej że bursztyn jest dość łatwy w obróbce. Kawałki surowego bursztynu spotykane są na stanowiskach archeologicznych w Europie z okresu późnego paleolitu – to epoka datowana na okres od 14 do 8 tys. lat p.n.e. Z okresów późniejszych pochodzą już wyroby. Znajdowano je na Kreecie, w grobowcach liczących 4,5 tys. lat. Wiele z nich odkopano w starożytnym Egipcie. Były to nie tylko korałe, wysadzano nimi broń, ozdabiano pierścienie, zapinki, inkrustowano powierzchnie luksusowych przedmiotów. W epoce kamiennej, podobnie jak krzemień, sól, kość słoniowa, bursztyn był towarem wymiany. Ba, stawał się dobrem luksusowym. Im dalej od źródła, tym droższym, więc stać na niego było jedynie możnych

ówczesnego, cywilizowanego świata w obrębie Morza Śródziemnego.

Magiczne panaceum

Czym wytłumaczyć, poza bezsprzecznym pięknem, międzynarodową i trwającą od tylu wieków karierę bursztynu?

Przypisywano mu właściwości magiczne. Prozaiczna, wynikała z obserwacji konstatacja, że skoro są w nim zastygłe owady, drobne zwierzątka, liście, igły drzew świadcząca o jego naturalnym pochodzeniu, była być może ukrywana. Ceniono bowiem czysty, przejrzysty bursztyn. Najbardziej mleczny lub biały. Odmienne niż dzisiaj, kiedy najbardziej popularny jest w kolorach żół-

Jeden z najsłynniejszych okazów – zawierający wewnątrz okaz jaszczurki – znajduje się w Muzeum Bursztynu w Gdańsku. Poza tym, sam fakt przywożenia go z „końca świata” i „zabiegi reklamowe” handlarzy mówiące zapewne i o trudnościach z jego pozyskaniem, i o niezwykłych dalekich krainach, w których występuje, boskim, słończnym pochodzeniu nie tylko miały podnieść jego wartość, ale i dodać mu tajemniczości.

To nie wszystko. Zapewne jakiś zapobiegliwy handlarz, chcąc uzyskać większą cenę, pocierał go tak długo kawałkiem tkaniny nadając blask, że ujawniły się jego inne właściwości: elektrostatyczne – przyciągania leżących w pobliżu drobnych cząstek papieru, tkanin, trawy. Dla nas to fizyka, dla ówczesnych ludzi była to magia.

Skoro był magiczny, to na pewno posiadał również właściwości lecznicze. Lista dolegliwości, na które miał pomagać, jest imponująca. **Pliniusz Starszy** pisał, że jako napój albo amulet leczy ataki szału, przydatny jest przy trudnościach z oddawaniem moczu, obniża gorączkę, a utarty z miodem i olejkami różanymi pomaga przy dolegliwościach uszu i wadach wzroku. **Mikołaj Kopernik** zalecał proszek bursztynowy na dolegliwości sercowe.

Proszkowany bursztyn lub nalewki z niego miały uśmiej-



rzać bóle głowy, pomagać na reumatyzm, bezsenność, zalecane także były przy chorobach dróg oddechowych. Noszenie bursztynu zalecano kobietom w ciąży, a rodzącym kładziono na brzuch, by łagodził bóle porodowe. Maści i balsamy z niego sporządzane miały przyspieszać gojenie ran, łagodzić skutki oparzeń, być pomocne przy leczeniu chorób zakaźnych, a amulety miały chronić w czasach zarazy. Jaka była ich skuteczność, tego nie wiemy, ale palony bursztyn był używany do odkażania pomieszczeń, między innymi właśnie po różnego rodzaju epidemiach.

Wierzono także, że jeśli poda się go pannie, która nie jest dziewicą, to w szybkim czasie będzie musiała go zwrócić wraz z moczem. Skoro działał moczopędnie...

Ile w tym wszystkim prawdy? Okazuje się, że sporo. Kwas bursztynowy stymuluje pracę nerek i układu moczowego, a także jelit. Posiada właściwości przeciwzapalne. Kwas i olej bursztynowy niszczą wolne rodniki, działają bakteriobójczo, dezynfekująco i łagodzą skutki ran poparzeniowych ułatwiając ich gojenie.

Zdaniem starożytnych miał także zapewniać wieczną młodość, dodawać sił witalnych. Coś w tym chyba jest, bowiem współcześni bioenergoterapeuci uważają, że dotyk bursztynu działa energety-

zując – jest on naładowany ujemnie, korzystnie dla człowieka. Używa się go do produkcji rozmaitych kosmetyków – kremów, toników, balsamów – które zalecane są dla skóry dojrzałej, mają bowiem właściwości sprzyjające jej natlenianiu. Za pomocą kawałków bursztynu dokonuje się także masaży, które ponoć sił witalnych dodają.

Żywy kamień

Bursztyn, co dla nas dziś oczywiste, to zastygła żywica drzew. Przyjmuje się, że jego pokłady pochodzą sprzed 50–

Kiedyś najbardziej ceniony był bursztyn przejrzysty, dziś zawarte w nim inkluzje znaczenie podnoszą cenę. Ale uwaga, one mogą być „zrobione” całym współcześnie.

45 mln lat. Dziś chyba to nas najbardziej fascynuje, bo dodaje magicznej patyny czasu.

Bursztyn, jako jedyna żywica kopalna, zawiera w warstwie powierzchniowej największej substancji leczniczej – kwasu bursztynowego. Jest też kamieniem żywym, bowiem pozostaje w stanie fosylizacji, czyli powolnego utleniania oraz polimeryzacji. Niestety, pod wpływem światła wietrzeje. Kiedyś przechowywano go w solankach, dzisiaj zabezpiecza się jego powierzchnię np. preparatami z wosków syntetycznych. Nie zabezpieczony i wystawiony na działanie światła ciemnieje, matowieje, a z czasem jego powierzchnia staje się chropowata i pojawiają się na niej pęknięcia.

Mimo że i dzisiaj stosuje się go leczniczo, w roztworach nie daje się całkowicie rozpuścić. W największym stopniu, prawie w jednej czwartej, rozpuszcza się w terpentynie, najmniej w metanolu – około jednej piątej. Mimo to, któż z nas nie pamięta babciwego spirytusu bursztynowego? Drobne, najczęściej samodzielnie zbierane nad morzem kawałeczki, zalane spirytusem, stosowane do nacierania przy przeziębieniach,

pomagające na przemarznięte nogi, a w ilościach aptekarskich na dolegliwości żołądkowe.

Przemysłowo natomiast, zarówno kwas bursztynowy, olej, jak i kalafonię bursztynową stosowane w leczeniu, a także składniki lakierów, werniksów, impregnatów otrzymuje się w procesie suchej destylacji, bez dostępu powietrza.

Poprawianie natury

Obróbka bursztynu jest prosta. Można go ciąć, szlifować, ryc w nim, a także giąć. W tym ostatnim przypadku, aby materiał zmiękczyć, gotuje się go w oleju roślinnym, np. rzepakowym. Staje się plastyczny w temperaturze ok. 150°C, topi się w dwukrotnie wyższej. Podgrzewany bezpośrednio nad płomieniem pęka, ale – jak nam przekazali starożytni – jego kawałeczki zanurzone w oliwie paliły się jaśniejszym światłem i starczały na dłużej niż włókna lnu używane w kagankach oliwnych.

Dzisiaj, oprócz wyrabiania przedmiotów z jednolitych, oszlifowanych kawałków bursztynu, poddaje się go rozmaitym procesom nieco oszukując naturę i nas, nabywców.

Przed wszystkim można go barwić. Nie my to odkryliśmy, ale już starożytni. Oni używali do tego wyciągów roślinnych,

potem nie jest w stanie odróżnić, czy osadzona w srebrnym wisioru bryłka powstała miliony lat temu, czy też została stworzona współcześnie – z okrucichów. Proces prasowania pod ciśnieniem kawałków lub proszku został opatentowany w XIX wieku. Metody są dwie – **Spillera i Trebitscha**.

Ba, można dokonywać jeszcze innych „falszerstw”, na przykład wykonywać inkluzje. Jeśli w naszym wisioru lub pierścionku znajduje się zastygły owad, nie podniecajmy się od razu myślą, że nosimy „kawałek prehistorii”. To może być całkiem współczesny przed-



Ma właściwości lecznicze, co potwierdziła współczesna medycyna. Nie jest wprawdzie panaceum na wszystko, jak wierzono przed wiekami, ale warto go nosić.

my stosujemy barwniki syntetyczne.

Ponadto wyroby dostępne w sklepach wykonane są bardzo często z tzw. poprawianego bursztynu. Na czym to polega?

W wypełnionych obojętnym gazem autoklawach, pod wysokim ciśnieniem dokonuje się procesu jego utwardzania i klarowania. Ma potem większą przejrzystość. Można też tym sposobem zespać ze sobą kawałki bursztynu, a nawet bursztynowy proszek. Nikt

stawiciel gatunku umieszczony tam za pomocą najnowszej technologii jedynie po to, aby podnieść cenę wyrobu, a nam dać złudne poczucie posiadania czegoś niezwykłego.

Choć, jak śpiewała kiedyś **Irena Santor** „już nie ma dzikich plaż, na których zbierałam bursztyny”, warto jednak, zwłaszcza wiosną lub na jesieni, przejść się brzegiem morza i wśród wyrzucanych na brzeg śmieci poszukać. A nuż...

JOANNA KOSMAŁSKA
Fot. Michał Leśniewski





Był późny wieczór. 4 sierpnia. Po upalnym dniu – na szczęście trochę się ochłodziło. Pakowałam się w pośpiechu, bo jak zwykle zostawiłam to na ostatni moment. Następnego ranka o 6.30 musiałam być na lotnisku. Pierwszy raz w życiu czekała mnie tak daleka podróż. Dwanaście godzin w samolocie i lot przez Atlantyk. Cel: Houston.

Długo to trwało, ale wreszcie się udało. Dostałam wizę. Będę mogła odwiedzić ojca mieszkającego w Houston od kilku lat i zobaczyć chociaż skrawek Ameryki. Jak to będzie? Czy wszystko się uda? Czy wsiądę do właściwego samolotu? Do głowy przychodziły mi coraz głębsze myśli. Chyba ze zmęczenia... Spojrzałam na zegarek. Już po drugiej, a jeszcze nie skończyłam się pakować. Za niecałe trzy godziny musiałam wstać. Taksówka zamówiona na szóstą rano. Budzik nastawiony. Powinno być OK. Przecież jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się, żebym nie usłyszała dźwięku budzika – przekonywałam sama siebie zasypiając... Po chwili – przynajmniej tak mi się wydawało – usłyszałam dzwonek telefonu. Wredne urządzenie! Dlaczego nie przestawało dzwonić!? Przecież śpię, ktoś mógłby odebrać telefon... tylko kto? Nagle uświadomiłam sobie, że to wcale nie był sen. Dzwonił mój telefon. Odebrałam ledwo przytomna. W słuchawce usłyszałam głos ojca.

– *Dzień dobry. Chciałem się tylko upewnić, czy wstałaś? Tutaj już wieczór, niedługo się kładę. To dobranoc i do zobaczenia.*

Ocknęłam się na dobre i w mgnieniu oka wyskoczyłam z łóżka. Czyli jednak stało się:

nie usłyszałam budzika. Co za fart! Dobrze, że jednak ojciec zadzwonił.

Nad chmurami

Huk pracujących silników zaczął zagłuszać myśli. Wyjrzałam przez małe, okrągłe okienko. Przerwane linie wymalowane na betonie pasa startowego migwały coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zwały się w ciągły, żółty pas. Szarpnięcie. Poczulałam, jak wciska mnie w fotel, a żołądek przytula się do kręgosłupa. Samolot uniósł się w górę. Spojrzałam na Warszawę. Aleja Krakowska, sznur samochodów, górka na Szczęśliwicach, iglica Pałacu Kultury... Wszystko zaczęło się oddalać, coraz bardziej i bardziej, aż w końcu widok przesłoniła mleczno-szara warstwa chmur...

Obudziłam się i przez dłuższą chwilę zupełnie nie wiedziałam, gdzie jestem, co się dzieje? Rzędy foteli. Samolot!? Co ja tu robię? Po kilku minutach wszystko mi się przypomniało, świadomość powróciła. Znów wyjrzałam przez okrągłe okienko. Patrzyłam i patrzyłam. 10 kilometrów pode mną rozciągały się pasma

Armadillo, czyli pancernik. Jest ssakiem żyjącym w Teksasie. Posiada niezwykłą umiejętność. Może wypełnić powietrzem płuca, żołądek oraz jelita i dzięki temu wstrzymać oddech nawet na 6 minut. Wiąże się z nim także wiele legend.

ośnieżonych gór, doliny poprzecinane ciemnymi liniami wijących się rzek, drzewa wielkości szpilek, czarne plamy jezior i... nic więcej. Dzikie, niezamieszkałe tereny półwyspu Labrador. Samolot szerokim łukiem skręcił na południe. Coraz mniej śniegu, brązowo-bure pagórki. Nagle pojawił się znajomy kształt. Wielkie Jeziora na granicy Kanady i USA. Za-

fascynowana siedziałam z twarzą przyklejoną do szyby, którą ozdabiały esy-floresy wymalowane przez mróz. Na zewnątrz temperatura wynosiła prawie -50°C . Jak to dobrze, że jestem w ciepłym samolocie – pomyślałam. Pojedyncze chmury rzucały cień na beżowozielony krajobraz, który z każdym kilometrem stawał się coraz bardziej płaski. Granatowa wstęga Missisipi, równe podziały na mozaikę kwadratów i prostokątów pól oraz łąk. Rozległe przestrzenie ciągnące się po horyzont. Zbliżała się godzina 15, a dla mnie – według czasu europejskiego – była już prawie 22.

Wreszcie zaświeciła się ikona informująca o konieczności zapięcia pasów. Samolot zaczął

Gorąca

kołować. Niżej i niżej. Pióropusze palm, jasne pasma autostrad, rozległe parkingi, wieża kontrolna. Wszystko rosło w mgnieniu oka. Poczulałam mocne uderzenie kół o płytę lotniska.

Jak w saunie

Pchając wózek z bagażami zastanawiałam się, czy rzeczywiście przeżyję szok, jak tylko wyjdę z budynku lotniska. Jego wnętrze było przyjemnie chłodne dzięki klimatyzacji. Na dworze czaił się kleisty upał i duchota. Powietrze przesycone wilgocią, temperatura około 40°C . Szklane drzwi rozsunęły się. Zrobiłam dwa kroki. Wcale nie jest tak źle – pomyślałam. Kolejne dwa kroki i... „Powietrze!!! Nie mamy czym oddychać!” – krzyczały wszystkie komórki mojego ciała. Czyli to była prawda. Ojciec mówił, że w sierpniu jest potwornie gorąco i duszno. Jednak trudno było mi uwierzyć, dopóki nie doświadczyłam tego na własnej skórze. Jakie wrażenie? Wyobraźcie sobie, że ktoś zarzucił wam na twarz gorący, mokry ręcznik... Chyba wystarczy!? O swobodnym oddychaniu można zapomnieć. Przynajmniej na początku. Później się przyzwyczaiłam. Jednak na razie, po pięciu minutach spędzonych na zewnątrz, byłam mokra. W takim klimacie człowiek poci się inaczej. Nie tylko pod pachami, ale całym ciałem, które momentalnie staje się lepkie. Wszystko: dłonie, ręce, nogi, plecy, brzuch. Pot spływa kroplami i też po całym ciele. Dlatego z prawdziwą ulgą wskoczyłam do klimatyzowanego samochodu.

American breakfast

Wyruszyliśmy wcześniej rano. Słońce paliło. Wszystko większe niż w Europie. Inaczej, trochę obco. Autostrada: 6 albo 8 pasów w jedną stronę, nawierzchnia z ja-

snego betonu, po to, żeby odbijała promienie słoneczne i jak najmniej się nagrzewała. Dlatego nie roztopia się tak, jak nasz asfalt, na drogach nie ma kolein, a samochody jadą równym tempem, każdy swoim pasem, rzadko ktoś wyprzedza. Trudno uwierzyć, ale to prawda! Teksasjczy policjanci są bardzo surowi. Nawet za niewielkie przekroczenie prędkości – wystarczy kilka mil na godzinę – szczególnie przy szkołach, wlepiają wysoki mandat. I nie ma dyskusji! Jak zaczniesz się stawiać, to od razu kajdanki na ręce i odwożą na posterunek.

Jechaliśmy chyba 7 godzin, a krajobraz prawie w ogóle się nie zmieniał. Taki jest Teksas.

patelnia

Tysiące kilometrów i płasko, płasko, płasko. Pola, łąki, zarośla, kolczaste krzewy, liany, kaktusy, suche trawy i ani jednego pagórka.

Na miejsce, południowy koniec wyspy South Padre Island, ciągnącej się wąskim pasem wzdłuż wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, dotarliśmy późnym popołudniem. Kolejny szok! Wielkie pudła hoteli tłoczyły się tuż przy samej plaży. Cóż, trochę inaczej to sobie wyobrażałam...

Następnego dnia wybraliśmy się do sieciowej, plastikowej „restauracji”. Miałam zobaczyć, jak wygląda prawdziwe amerykańskie śniadanie. I zobaczyłam! Dziękuję. Raz wystarczy. Już samo menu przyprawiło mnie o zawrót głowy, a szczególnie wielkość porcji. Tost z kilkoma plasterkami szynki oraz sera, pieczone kielbaski ociekające tłuszczem, jajecznicza najprawdopodobniej zrobiona z proszku – ohydztwo! – albo coś w rodzaju frytek, smażone plastry boczku i jeszcze na dokładkę trzy puszyste naleśniki z syropem klonowym. Kawa w dowolnej ilości. Wystarczyło poprosić o dolewkę młodą dziewczynę krząca z

W Teksasie jest znane 5 gatunków łubinu. Wszystkie są uznawane za symbol tego stanu. Jednym z piękniejszych jest rodzaj popularnie zwany The Texas Bluebonnet, który okrywa łąki niebieskimi kobiercami.

dzbankiem w rękę pomiędzy stolikami. Zupełnie jak na filmie.

Po kilku kęsach i spróbowaniu wszystkiego po trochu, byłam już najedzona. Zerknęłam w stronę sąsiedniego stolika. Typowa, amerykańska rodzina o „słusznym” rozmiarach. Też zamówili śniadanie. Jednak w przeciwieństwie do nas, każde z nich pochłonęło w całości porcję, którą przyniosła kelnerka. A ja siedziałam, gapiałam się na nich z ostupieniem i marzyłam o herbacie miętowej. Ojciec uświadomił mi szybko, że czegoś takiego na pewno nie dostanę. Kolejny szok!

– Jak to? Nie podają gorącej herbaty? – zapytałam zdziwiona.

– Prawie w całym Teksasie nikt nie zamawia herbaty. Jest za gorąco. Każdy szuka ochłody. Piją colę, fantę albo wodę i to z duuużą ilością lodu – wyjaśnił z uśmiechem.

Spojrzałam w kierunku dystrybutora napojów. Właśnie podszedł do niego mały chłopiec. Do wysokiego, plastikowego kubka wsypał trzy garści kostek lodu, które wypełniły go prawie po brzegi, a potem dołączył coca-coli. A ja znowu patrzyłam oszołomiona.

– Zobaczysz – powiedział ojciec – za tydzień zapomnisz o herbacie, nie będziesz mieć ochoty na nic ciepłego do picia.

Miał rację, ale po tym śniadaniu, które będę pamiętać do końca życia, kupiłam miętę i w hotelowym pokoju zaparzyłam sobie gorącą herbatę, mimo że za oknem żar lał się z nieba.

Wzdłuż rzeki

Do San Antonio dotarliśmy pod wieczór. Przez połowę drogi leżałam na tylnym siedzeniu samochodu i witałam się z bólem. Przyczyną był wielki, amerykańsko-meksykański

hamburger, taki z prawdziwego zdarzenia: ogromna bułka z sezamem i kotlet średnicy grejpfruta. Kupiłam go w drewnianym barze przy autostradzie. Niskie okna, na ścianach stare plakaty, skrzypiąca podłoga z wytartych desek, półmrok i wiatraki pod sufitem miałyce gęste powietrze. To było jedno z kilku odwiedzonych przeze mnie miejsc, gdzie czas zatrzymał się 50 lat temu. Trochę się rozmarzyłam, powzdychałam, ale hamburgera zjadłam całego i – to był błąd. Mój żołądek nie był przyzwyczajony do takich ilości mięsa, szczególnie, że przez ostatnie 12 lat nie jadłam go w ogóle. Ale przed wyjazdem założyłam się z bratem. Nie mogłam przegrać! Hamburger zniknął. Zakład wygrałam, a ból brzucha w końcu minął.

San Antonio jest drugim po Houston największym miastem Teksasu. Najpierw osiedlili się tam Indianie, a w XVII wieku przybyli Hiszpanie poszukujący bogactw i dobrobytu. W roku 1718 razem z franciszkanami założyli pierwszą misję. Uczyli Indian uprawy roli i różnych rzemiosł. W ciągu 13 lat powstało pięć kolejnych misji położonych wzdłuż rzeki San Antonio. Jedną z najsylniejszych, którą co roku odwiedza 2,5 miliona ludzi, jest The Ala-

Niedaleko od Houston znajduje się Brazos Bend State Park. Jest to rozległy teren, gdzie można spotkać najróżniejszych rozmiarów ważki, aligatora amerykańskiego, a także niezliczone ilości pająków, które wielkością zdecydowanie przewyższają naszego rodzimego krzyżaka.

mo. Położona w centrum miasta, zbudowana z jasnego kamienia. Wieczorem ciepłe światło podkreśla piękno jej bryły.

Staliśmy z ojcem na placu i patrzyliśmy. Po-tem opowiedział mi związaną z tym miejscem historię. 6 marca 1836 roku doszło tam do krwawego starcia z armią meksykańską. Miała zdecydowaną przewagę, jednak Teksasjczycy byli nieugięci i zaciekle bronili wolności swojego kraju. Od tego czasu misja The Alamo stała się symbolem odwagi i niepodległości.

Wróciliśmy do hotelu późnym wieczorem. Nawet nie pamiętałam momentu, kiedy zasnęłam. Cały następny dzień spędziliśmy spacerując wzdłuż rzeki otoczonej bujną zielenią cedrów, palm, wijących się pędów bugenwilli, olbrzymich liści paproci oraz bananowców. Pomiedzy nimi odnajdowaliśmy ukryte hotele, restauracje, małe sklepiki i knajpki, w których serwowali wyśmienitą margaritę z sokiem z limonki...

Tekst i zdjęcia: JOANNA MAJEWSKA



Mazowieckie staruszki

Kiedy nastają wakacje, nawet zagorzałemu domatorowi przychodzi do głowy myśl, żeby spać w namiocie i ruszyć na wyprawę. Na biwak, do wód albo tylko na działkę pod miasto. W lipcu i sierpniu warszawskie ulice pustoszeją. Z ulic znikają korki i ruch miejski w Warszawie pozwala przypomnieć sobie, jak wyglądały arterie miasta czterdzieści lub pięćdziesiąt lat temu.

Nie dość, że nie było takich korków, jak obecnie, to jeszcze po Marszałkowskiej i Trasie W-Z jeździły zupełnie inne samochody. Starsi czytelnicy pamiętają Warszawy, Syreny i nieliczne zachodnie auta. Wybierzmy się więc na wycieczkę, aby zobaczyć, jakie cztery kółka królowały przed laty na naszych drogach i ulicach.

Najłatwiej można to zrobić zwiedzając mazowieckie muzea motoryzacji. Nie trzeba szycować się na wielką wyprawę. W Pałacu Kultury i Nauki od roku 1955 ma swoją siedzibę Muzeum Techniki. Polscy inżynierowie zaproponowali jego utworzenie w roku 1952, podczas drugiego po II wojnie światowej Kongresu Techników Polskich. Miała to być kontynuacja działającego od roku 1929 Muzeum Techniki i Przemysłu, którego istnienie przerwała wojenna zawierucha.

W sali na pierwszym piętrze znajduje się ekspozycja, w której zgromadzono eksponaty prezentujące pojazdy z początków historii motoryzacji. Warto jednak najpierw zajrzeć do bocznego pomieszczenia przy schodach, żeby naprzeciwko projektorów kinowych znaleźć coś, co na pierwszy rzut oka kojarzy się z sympatycznym, szarobordowym garbatym owadem z wylupiastymi oczami.

Ten całkiem zgrabny minisamochodzik został zbudowany w roku 1955 przez pracownika naukowego Politechniki Warszawskiej, dr **Bernarda Siczka**. Pojazd jest przykładem niezwykle popularnych

w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych konstrukcji nazywanych SAM. Zwykle poszczególne elementy pochodziły z demobilu. Ich lista może z jednej strony wywołać zdziwienie, z drugiej jednak podziw dla kreatywnego myślenia ówczesnych konstruktorów. Samochodzik jest całkiem nowoczesny jak na połowę lat pięćdziesiątych – ma samonośne nadwozie z niezależnym zawieszeniem. Karoseria została wykonana z przerobionego dachu „normalnego” Opla Kapitana z lat czterdziestych. Przednie reflektory pochodzą z motocykla SHL M-04, tylne najprawdopodobniej z garbusa z lat pięćdziesiątych.

Samochodzik dr Siczka ma napęd elektryczny, którym jest prądnica od niemieckie-

W latach pięćdziesiątych popularne stały się samochody, tzw. SAM-y, budowane z różnych części, najczęściej pozyskiwanych z demobilu. Nikogo nie dziwiły opony od samolotu, światła od traktora albo nadwozie wykonane z... dachu innego samochodu.

go samolotu zestrzelonego nad Polską w czasie II wojny światowej. Inżynier pomyślał też o biegu wstecznym, który uruchamia się poprzez zmianę biegunowości silnika-prądnicy. Całość porusza się na kołach z oponami samolotowymi.

Po obejrzeniu tego intrygującego eksponatu można powrócić do sali, aby zaraz natknąć się na trójkołowy rower z silnikiem. Jest to wspomnienie z czasów, gdy pionierzy motoryzacji eksperymentowali ze

swoimi konstrukcjami, wytwarzając motoryzacyjne szlaki. Trzeba przyznać, że wiele z nich wiodło w ślepe uliczki. W XXI wieku mało kto zdecydowałby się na budowę takiego dziwoląga, ale pod koniec XIX wieku, a dokładnie w roku 1898 nie było to nic dziwnego. Trzeba jednak zaznaczyć, że pomysł zbudowania trójkołowego roweru z silnikiem nie dziwił projektanta. Kiedy jednak wyjechał czymś takim na ulicę, zdarzało się, że budził zdumienie albo wręcz omdlenie. Trójkołowcem to De Dion Bouton, który trafił do Polski z Francji. Sprowadził go **Stanisław Grodzki**, który zapoczątkował erę automobilizmu na ziemiach polskich. Był pierwszym polskim kierowcą poruszającym się po Warszawie pojazdem marki Peugeot.

Szofer na balkonie

Robimy krok w bok i przenosimy się w czasy o rok późniejsze. Stoimy przed dorożką z balkonem, która zamiast dyszla ma pionową korbkę. Na „balkonie” siadał kierowca i – kręcąc korbką – kierował pojazdem marki Cudell tak, aby nie wpaść na wozy konne,

Nie wiadomo, jak pojazd trafił do Europy. Wiadomo natomiast, że w roku 1947 został odnaleziony na tzw. Ziemiach Odzyskanych, za stodołą na wsi koło Mrągowy. Na zrujnowaną dorożkę bez koni trafił ówczesny dyrektor olsztyńskiego oddziału PKS, **Bohdan Nowakowski**.

Kiedy przyjrzeć się danym technicznym automobili z początków XX wieku, to można się szczerze uśmieć: silnik napędzający „Curved dash” miał pojemność 1500 cm³ i moc około 7 KM. Inny samochód z tego samego okresu, znajdujący się w zbiorach Muzeum Techniki – Adler – miał pojemność 700 cm³ i moc 3,5 KM. Pół wieku później budowano już samochody takie jak Moretti, które miały taką samą pojemność, a osiągały moc 60 KM.

Interesującym eksponatem jest przedstawiciel praktycznie nieznanego u nas belgijskiej marki FN. Belgowie nie wykazali się polotem w wymyślaniu nazwy, albowiem pochodzi ona od słów Fabrique Nationale, co znaczy tyle co „Zakład Państwowy”. Wykazali się jednak zmysłem inżynierskim, konstruując samochód w czasach, gdy w Polsce najbardziej wymarzone cudem techniki drogowej był rower. Trzeba jednak przyznać, że obydwa pojazdy osiągały podobne prędkości.

Szybko jednak nadrobiliśmy motoryzacyjne zaległości i już na przełomie lat dwudzie-



Nie wszystkie eksponaty muzealne muszą stać w bezruchu. Niektóre z nich powinny, a nawet muszą jeździć.

stych i trzydziestych nastąpił prawdziwy wysyp marek motocyklowych. Na polskim rynku pojawiły się Moje, Niemny, Podkowy i SHL. Większość z nich produkowano w Polsce, wyposażając w tzw. setki, czyli silniki Villiersa albo Sachs'a o pojemności 100 cm³. Odmianą popularności zawdzięczały przepisom, które mówiły, że na pojazd do tej pojemności silnika nie było wymagane prawo jazdy.

Produkowano też większe motocykle. Najpopularniejszy jest Sokół, którego różne modele również można zobaczyć w sali ekspozycyjnej Muzeum Techniki. Najbardziej znany jest 1000, który po wyczerpujących testach na drogach i bezdrożach znalazł się w polskim wojsku.

I lux, i sport

Prawdziwie unikatowym eksponatem jest podwozie polskiego prototypowego samochodu L-S, nazywanego też Lux-Sport. Olbrzymia rama z umieszczonym z przodu widlastym, ośmiocylindrowym silnikiem daje wyobrażenie o wielkości tego auta. Był to samochód całkowicie polskiej konstrukcji, który zgodnie z ówczesnymi założeniami miał służyć w kolumnie rządowej, do przewożenia przywódców państwa. Nowoczesne nadwozie, które znamy tylko ze zdjęć, opracował **Stanisław Panczakiewicz**, wykładowca i późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej. Urucho-

nie produkcji planowano na początek lat czterdziestych. II wojna przekreśliła te plany. Rama z silnikiem została odnaleziona po wojnie na złomowisku w Zakładach Mechanicznych Ursus.

Pojazdy zaprezentowane w Pałacu Kultury i Nauki są zaledwie częścią bogatego zbioru Muzeum Techniki. Pozostałe samochody można zobaczyć w uruchomionym w marcu 2009 roku Muzeum Motoryzacji, które mieści się przy ulicy Filtrów 62. Po pokonaniu bramy przedwojennej kamienicy na Starej Ochocie, trafiamy do podziemnego ga-

Jakże inaczej wyglądały samochody, gdy motoryzacja była w powijakach! Najpopularniejsza stała się dorożka z silnikiem, ale zdarzały się też trójkołowe dziwołagi albo nadwozia wykonane z... wikliny.

rażu, w którym zgromadzono dwadzieścia cztery samochody i kilkanaście motocykli, które wcześniej wystawiano w poprzedniej siedzibie muzeum na terenie dawnej fabryki Norblina.

Zaraz po wejściu do muzeum uwagę przyciąga zielony automobil z elegancko pikownymi siedzeniami. To angielski Humber z roku 1908. Nazwa brzmi znajomo, bo w latach sześćdziesiątych samochody tej marki służyły obok Mercedesów – tzw. skrzydłaków – i Peugeotów 404 jako samochody rządowe, którymi

jeździli ministrowie. Muzealny Humber ma jednak o pięćdziesiąt lat więcej. Jest egzemplarzem w pełni sprawnym. Można się było o tym przekonać w roku 2008, kiedy obchodził swoje stulecie. Jeździł wtedy po dziedzińcu fabryki w Nor-

biała tendencją do odbijania w przeciwną stronę. Uruchoamiania za pomocą korby musiał się nauczyć każdy automobilista. To samochód dyktował warunki, a nie kierowca.

Kiedy wóz terkotał na jałowym biegu, czyli „na luzie”, szofer sadził się za kierownicą, spuszczał hamulec i ruszał w drogę. Nie było to takie proste, jak dzisiaj. W czasie jazdy należało nieustannie korygować skład mieszanki powietrzno-paliwowej i kąć wyprzedzenia zapłonu. Służyły do tego zazwyczaj specjalne dźwignienki zamontowane na kole kierowcy. Wszystkich regulacji dokonywało się na słuch, bo na desce rozdzielczej nie było żadnych wskaźników. Szczytem luksusu i dokładności pomiarów był co najwyżej prędkościomierz, który pojawił się w późniejszych latach. Osobną szkołę stanowiła obsługa oświetlenia. Włączanie latarni karbidowych albo naftowych

blinie, wydzielając z siebie kłęby dymu. Nie było w tym nic dziwnego. W początkach motoryzacji nikt nie myślał o tym, że pół wieku później ulice zostaną zaanektowane przez samochody. Nikt też nie zastanawiał się nad tym, jak bardzo – i czy w ogóle – należy chronić środowisko zatrutowane systematycznie przez rozmaite związki chemiczne zawarte w spalinach.

Samochód prawdziwy

Humber, podobnie jak inne z tamtej epoki, jest doskonałym przykładem samochodu „prawdziwego”. To znaczy, że wszystkie mechanizmy wymagały od kierowcy użycia siły. Nie było wspomagania kierownicy ani rozrusznika. Aby uruchomić silnik, trzeba było wsadzić korbę w otwór z przodu samochodu, zakręcić i dopiero można było jechać. Na dodatek należało wiedzieć, jak kręcić korbą. Podręczniki z okresu międzywojennego instruuja, że trzeba było ją trzymać tzw. chwytem otwartym, czyli kciuk i pozostałe palce musiały się znajdować po tej samej stronie korby. Jeśli kciuk zaciskał się na niej, można go było stracić, bo zdarzało się, że korba

W Muzeum Motoryzacji znajduje się jeden z najszybszych „prawie polskich” samochodów. Jest to Stratopolonez, czyli podwozie z silnikiem Lancii Stratos, ubrane w nadwozie Poloneza. Za jego kierownicą ścigał się Andrzej Jaroszewicz.

też wymagało odpowiednich umiejętności. Jeśli na przykład lampy nie chciały zadziałać albo skończyło się paliwo, był na to sposób. Podręczniki szoferów zalecały, aby zastosoować mniej zawodne oświetlenie: świecę w butelce z utraconym denkiem trzymaną na zewnątrz pojazdu tak, żeby była widoczna zarówno z przodu, jak i z tyłu.



➔ Kolejnym samochodem w Muzeum Motoryzacji jest legendarny Ford T. To pierwszy samochód montowany na linii produkcyjnej, którą wymyślił Henry Ford w roku 1913. To przyspieszyło prace i obniżyło cenę. Samochód był dostępny tylko w kolorze czarnym, ponieważ taka farba schła w słońcu najszybciej. Dzięki pomysłowi Henry Forda, samochód trafił do ogromnej liczby odbiorców. W latach 1908–1927 wyprodukowano piętnaście milionów egzemplarzy. W Stanach Zjednoczonych jest kilku właścicieli, którzy wciąż używają go do jazdy na co dzień.

Obok Forda T stoi niemiecki Adler Triumpf Junior. Jeśli przetłumaczyć te nazwę na polski, znowu okaże się – jak w przypadku belgijskiego FN-a – że inżynierowie niemieccy znacznie lepiej znali się na mechanice niż poetyce. Proszę posłuchać: Orzeł Triumpf Junior. Powiedzmy szczerze – to nie brzmi jak nazwa samochodu. Należał do samochodów popularnych, które często spotykało się na przedwojennych drogach. W latach 1934–1941 zbudowano ponad sto tysięcy sztuk. Jednak w przypadku tego konkretnego egzemplarza, o wiele ciekawszą ma historię najnowszą. Adler został kilka lat temu zarekwirowany przez polskie służby graniczne podczas próby nielegalnego wywiezienia z kraju. W Polsce obowiązuje przepis, który zabrania wywozu bez odpowiednich zezwo-

leń przedmiotów znajdujących się na terenie kraju, wyprodukowanych przed rokiem 1945. W wyniku sprawy sądowej, samochód został przekazany do Muzeum Motoryzacji.

Setka do jazdy

Dalej znajduje się motocyklowy zakątek. Jest kilka modeli Sokołów oraz wspomniane wcześniej setki, czyli motocykle polskiej konstrukcji,

Bardzo możliwe, że gdyby nie niechlubna akcja „Posesja”, zapoczątkowana w latach 70., nasze muzea mogłyby się pochwalić większą liczbą ciekawych samochodów z początków motoryzacji.

takie jak Perkun i SHL. Dwa spośród prezentowanych motocykli należą od prywatnych właścicieli, którzy postanowili, że chcą pokazać je szerokiej publiczności. Jednym z nich jest DKW KS 200, drugim Royal Enfield z roku 1913, który jest jednym z najstarszych motocykli w Polsce.

Tuż obok – Osa. Na szczęście nie trzeba się od niej opełdzać. To najbardziej charakterystyczny polski jednoślad. Ten elegancki i sympatyczny zarazem skuter był odpowiednią na modne w latach 50. i 60. skutery, przede wszystkim włoskie: Vespy i Lambretty. Mimo że – przynajmniej teore-

tycznie – Osa miała służyć do niespiesznego przemierzania miasta na spotkania towarzyskie, całkiem dobrze radziła sobie w terenie. W annałach polskiej motoryzacji można odnaleźć charakterystyczną fotografię z Rajdu Tatrzańskie-go, kiedy Osa wyskakuje ze sporego wzniesienia, zupełnie jak rasowy motocykl crossowy. O Osie krążą pogłoski, że była produkowana na licencji w Indiach. Bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu pewną ich liczbę wyeksportowano do tego kraju, a plotki i niedomówienia zrobiły swoje.

Z innych powojennych jednośladów, w muzeum na Filtrównej możemy zobaczyć jedyny ciężki polski motocykl Junak. Pochodzi on z tzw. serii przedprodukcyjnej, zanim trafił do seryjnej produkcji. Jest też ostatni polski motocykl, którego produkcję zakończono w roku 1985 – WSK Kos. W związku z tym, że przez długie lata był wykorzystywany głównie na prowincji, zyskał niechlubną nazwę: Wiejski Sprzęt Kaskaderski. Egzemplarz znajdujący się w zbiorach Muzeum Motoryzacji jest dosłownie ostatnim, jaki zjechał z linii produkcyjnej.

W kolejnym zaułku, nazwanym ulicą PZInzu – od Polskich Zakładów Inżynierii, produkujących licencyjne pojazdy – napotykamy dużą ciężarówkę Fiat 621. Jest to podwozie z kabiną. W takiej postaci wyjeżdżały z fabryki w Ursusie, a następnie były zabudowywane jako autobusy

albo ciężarówki. Bardzo popularne w przedwojennej Polsce były Polskie Fiaty 508, które produkowano w różnych odmianach. Oprócz popularnego Junaka (nie mylić z motocyklem!), powstawały również odmiany Łazik, przeznaczone dla wojska. Miały otwarte nadwozia i mimo że dokonywano w nich specjalnych przeróbek, doskonale spisywały się w terenie, głównie z powodu dużego prześwitu, czyli dużej odległości pomiędzy ziemią a dolną częścią nadwozia.

Pancerne cacko

Pojazdy, którymi jeździły znane osoby, wzbudzają chyba największe emocje. Tym bardziej, jeśli jest to imponujący, opancerzony Cadillac V8 z roku 1934, który został wykonany na specjalne zamówienie dla marszałka **Józefa Piłsudskiego**. Samochód został podwyższony tak, żeby – wsiadając do środka – głowa państwa nie musiała się schylać. Wbrew pozorom, nie cho-

Muzeum w Otrębusach posiada pokaźną kolekcję samochodów należących kiedyś do znanych osób. Są tam samochody między innymi Bolesława Bieruta, Władysława Gomułki, Wojciecha Jaruzelskiego oraz Grażyny Szapołowskiej i Bogusława Lindy.

dziło w tym przypadku tylko o względy prestiżowe, ale przede wszystkim o to, że marszałek był już schorowany i za bardzo nie mógł się schylać. Nietrudno wyobrazić sobie, że takim samochodem podróżowało się o wiele wygodniej niż kasztanką. Na przedniej szybie wozu widać ślady po kulach. Nie są to pozostałości nieznanego zamachu. W latach 50. żołnierze postanowili sprawdzić, czy rzeczywiście Cadillaca nie mają się kule i oddali do niego kilka strzałów. Na zewnętrznej stronie szyby jest wgłębienie po pocisku. Od wewnątrz jednak szyba jest gładka.

Na początku II wojny światowej wielka czarna limuzyna z kolumny pojazdów rządo-



Nie wszystkie eksponaty muzealne muszą stać w bezruchu. Niektóre z nich powinny, a nawet muszą jeździć.

wych została – tak jak żołnierze – internowana w Rumunii, potem wróciła do kraju. W gorszych czasach samochodu, kiedy nikt nie myślał o nim jako o zabytku, wycięto płyty skóry z tapicerki.

Cadillac jest w tzw. stanie zachowania. Oznacza to, że jest oryginalny, bez remontu. Taki stan wzbudza różne emocje: dla jednych liczy się patyna czasu, która dodaje uroku. Inni z kolei uważają, że pojazd w takim stanie nie powinien być pokazywany w muzeum. Za stanem zachowania przemawia fakt, że nawet w najbardziej prestiżowych pokazach samochodów zabytkowych biorą udział pojazdy nie remontowane, właśnie takie na których widać upływ czasu. Stworzono dla nich specjalną kategorię konkursową.

Drugim takim pojazdem z Muzeum Motoryzacji jest Packard, którym jeździł prezydent **Ignacy Mościcki**. Obydwa są utrzymywane w stanie zachowania i czekają na remont z prawdziwego zdarzenia. W takim przypadku lepiej poczekać nawet kilkanaście lat i przeprowadzić gruntowny remont zgodnie ze sztuką, niż przeprowadzać pobieżną konserwację, która może zepsuć każdy samochód.

Jeśli chodzi o samochody z okresu PRL-u, to w muzeum można obejrzeć całą gamę prototypów. Do ciekawszych należą Warszawa 210, mikrosamochód Meduza oraz Syrena 110, która zupełnie nie kojarzy się z poczciwą „skarpetą”. Ma nowoczesne nadwozie, ale silnik pozostał dwusuwowy. Ciekawostką jest tzw. rama pomocnicza, w której mieści się silnik. „Stodziesiątka” została tak zaprojektowana, żeby można było wymontować przednią część samochodu z jednostką napędową oraz kołami i oddać ją do serwisu, a na miejsce zamontować inny silnik na czas naprawy. Pomysł był ciekawy, ale zupełnie nie do zrealizowania w czasach PRL-u.

Spośród nowszych prototypów z przełomu lat 70. i

80. można obejrzeć Ogara, sportowy samochód z modernymi wówczas, otwieranymi przednimi reflektorami. Równie nowoczesną konstrukcją stanowił czterodrzwiowy Wars o nadwoziu hatch-back, który, niestety, nie trafił do produkcji. Podobnie jak Beskid, który powstał w Ośrodku Badawczo-



Rozwojowym Samochodów Małolitrażowych. Najważniejszą cechą tego samochodu, który miał być następcą malucha, stanowiło nadwozie. Nowoczesna, daleko wybiegająca w przyszłość sylwetka byłaby atrakcyjna nawet dzisiaj, ćwierć wieku później. Nadwozie miało doskonały współczynnik oporu powietrza, wynoszący 0,29. Silnik, zaadaptowany z malucha, zużywał cztery litry paliwa na sto kilometrów.

Stratopolonez

Naprzeciwko opisanym prototypów stoją dwa legendarne samochody, które można określić modnym mianem kultowych. Pierwszym z nich jest Stratopolonez, czyli nadwozie Poloneza zamontowane na podwoziu i silnikiem Lancii Stratos, najlepszego w latach 70. samochodu rajdowego. Stratopoloneza zbudowano, kiedy **Andrzej Jaroszewicz**, kierowca rajdowy i jednocześnie syn długoletniego premiera Polski, **Piotra Jaroszewicza**, na jednym z rajdów rozbił swojego Stratos. Nowo powstała konstrukcja stała się doskonałą reklamą wprowadzanego w roku 1978 do produkcji Poloneza. W muzeum,

nad rajdówką wisi charakterystyczne zdjęcie z toru rajdowego, na którym Stratopolonez wyprzedza Porsche. Miał to być propagandowy chwyt mówiący, że polskie konstrukcje są lepsze od zachodnich...

Dla tych, którzy z przymrużeniem oka patrzą na polską motoryzację, dowodem na to, że nie była taka zła, niech będzie Polski Fiat 125p, który w roku 1973 pobił następujące rekordy: w jeździe na dystansie 25 000 km, 25 000 mil

albo samolot. To znaczy, że jesteśmy na miejscu, w Otrębusach. Mieści się tu prywatne Muzeum Motoryzacji i Techniki, prowadzone przez rodzinę **Miki-ciuków**.

Założeniem muzeum stała się prowadzona w latach 70. przez władze akcja „Posesja”. Na dźwięk tej nazwy miłośnikom zabytkowej motoryzacji robi się słabo. Akcja polegała na usuwaniu wraków stojących na prywatnych posesjach. Do właściciela przychodził dzielnicy i wręczał mu nakaz usunięcia samochodu. Jeśli nie zniknął w ciągu dwóch tygodni, dostawał kolegium i 5000 złotych grzywny.

Jeśli samochód stał na ulicy, był odwożony przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania na specjalny parking, który mieścił się na terenie dzisiejszego cmentarza komunalnego na Wólce Węglowej. Stamtąd było niedaleko do huty. To wówczas bezpowrotnie przepadły unikatowe samochody,

Historia niejednego auta byłaby kanwą niezłego filmu: Adler przez kilkadziesiąt lat stał w zamurowanej komórce, a właściciel BMW Dixi trzymał go w pokoju mieszkania na dziesiątym piętrze.

oraz 50 000 km. Poprzedni rekord ustanowiła Simca w roku 1961. Wydarzenie relacjonowały media, a dygnitarze partyjni chodzili dumni jak pawie. Rekordowy biały samochód pokryty reklamowymi napisami stoi skromnie obok Stratopoloneza.

Zła „Posesja”

Szosa na Grodzisk Mazowiecki trzeba jechać tak długo, aż zobaczymy leciwą różową ciężarówkę. Jeśli akurat jej nie będzie, zobaczymy czołg

często wyprodukowane w pojedynczych egzemplarzach.

Na szczęście byli też ludzie, których pasją było przywracanie do życia owych porzuconych blach. Nie mieli łatwo, bo w latach 70. przedwojenne samochody nie były jeszcze uważane za rarytasy. Nie było czegoś takiego, jak rynek kolekcjonerski. Czterokołowe staruszki były traktowane z politowaniem i wywoływały drwiące uśmiechy.

W takich czasach zaczęła gromadzić swoje zbiory

Zbigniew Mikiciuk. Przyznaje, że miał nieco łatwiej niż pozostali nieliczni kolekcjonerzy w kraju, bo jego pasję poparła rodzina. Zaczął kupować porzucone wraki. Wyjazdy na wakacje stawały się swoistym polowaniem na graty wrastające w ziemię za stodołami. W pewnym momencie doszło do tego,

Do muzeum może trafić samochód, który został zarekwirowany przez polskie służby celne. Takim eksponatem jest Adler Trumpf Junior, który znajduje się w ekspozycji Muzeum Motoryzacji przy ulicy Filtrowej.

że działki i ogródki znajomych były zastawione samochodami. Zbigniew Mikiciuk równocześnie remontował poszczególne auta. Miał kłopoty z literaturą, którą nierzadko trzeba było sprowadzać z zagranicy. Wiele części musiał dorabiać. To była ciężka praca, a satysfakcja pojawiała się w momencie, gdy przywrócony do życia samochód na nowo „zagadał” dźwiękiem silnika. Jednym z pierwszych samochodów, jakiemu przywrócił dawną świetność, było przedwojenne czechosłowackie Aero.

Pod koniec lat 70. rodzina Mikiciuków weszła w świat filmu. Zaczęło się bardzo zwichaczajnie: jechali po Warszawie jednym ze swoich przedwojennych aut, kiedy zagadali ich filmowcy, którzy akurat poszukiwali rekwizytów do filmu „Sekret Enigmy”. Od tamtego czasu wypożyczają rekwizyty do filmów. Nie tylko samochody, ale wszystko, co może pomóc w odtworzeniu dawnych realiów historycznych.

Czarny tłumik

Przełomem stał się rok 1988, kiedy kupili działkę w Otrębusach. Mogli wreszcie zrealizować marzenie, jakim było stworzenie muzeum. Chcieli pokazać swoje zbiory szerszej publiczności. Starali się przy tym, żeby to nie były „wydmuszki”, ale w pełni sprawne egzemplarze. Uważają bowiem, że samochód musi

jeździć i mieć tłumik czarny od spalin. Znaleźli uznanie u władz, bo muzeum w Otrębusach zostało – jako pierwsza prywatna placówka tego typu – wpisane do państwowego rejestru muzeów.

Prowadzenie muzeum, mimo że wymaga wielu wyrzeczeń, daje ogromną satysfakcję. Zdarza się, że przyjeżdżają ludzie z albumami, w których mają wycinki prasowe o muzeum. Placówka zajmuje się też działalnością popularyzatorską. Organizuje konferencje dla diagnostów, dotyczące zabytkowej motoryzacji. Choć w ostatnich latach nastąpiła prawdziwa moda na jeżdżenie zabytkowym samochodem, to wciąż jest mało specjalistów w tej dziedzinie. Do muzeum przyjeżdżają też prywatni kolekcjonerzy, żeby podpatrzeć, jak się remontuje pocziwe staruszki.

Innym polem działalności jest „Auto tour”, impreza organizowana od roku 1999. Jest to wystawa objazdowa, podczas której samochody są prezentowane w olbrzymim namiocie, który do tej pory stanął między innymi w Olsztynie, Elblągu, Kielcach i Radomiu. To doskonały sposób, żeby zainteresować młodych ludzi zabytkową motoryzacją. „Łapią zajawkę”, kupują stare samochody, przywracają je do stanu używalności i jeżdżą nimi. Po prostu dla przyjemności albo na rajdy i zloty.

Muzeum z Otrębusów od ponad dwudziestu lat pielęgnuje też przedwojenną tradycję święcenia samochodów. W roku 1935 w Podkowie Leśnej ze składek automobilistów i lotników zbudowano kościół świętego Krzysztofa. Do momentu rozpoczęcia wojny co roku odbywały się tam zloty.

Niezwykle interesujące są polskie prototypy, czyli samochody, które nie trafiły do seryjnej produkcji. Wars, Ogar, Beskid i Syrena 110. Zawierała się w nich całkiem nowoczesna myśl polskich konstruktorów.

gnuje też przedwojenną tradycję święcenia samochodów. W roku 1935 w Podkowie Leśnej ze składek automobilistów i lotników zbudowano kościół świętego Krzysztofa. Do momentu rozpoczęcia wojny co roku odbywały się tam zloty.

Warto wybrać się do Podkowie Leśnej w pierwszą majową niedzielę na „Auto sacrum”, które gromadzi właściciele zabytków z silnikami. Można wtedy zobaczyć nie tylko muzealną kolekcję, ale ponad siedemdziesiąt innych samochodów zabytkowych, które biorą udział w tym wydarzeniu.

Gomułka i Szapołowska

Przez kilka dekad zbierania zabytkowych pojazdów, w ekspozycji muzeum znalazły się przeróżne eksponaty z silnikami spalinowymi. Najstarszym z kolekcji jest samochód JAG z roku 1897. Jest to – podobnie, jak opisywane wcześniej Oldsmobile i Cudell – coś w rodzaju dorożki z silnikiem. Spórą część zbiorów stanowią samochody należące do znanych osób: Mercedes 170 kabriolet **Lody Halamy**, przedwojenny Austin Six, należący w latach 50. do **Bolesława Bieruta**, radziecki ZIS z parku maszynowego **Józefa Stalina** oraz drugi, którym jeździł **Władysław Gomułka**, opancerzony Peugeot 604 gen. **Wojciecha Jaruzelskiego**.

Spośród nowszych samochodów można zobaczyć tam Dużego Fiata należącego niegdyś do byłego prezydenta **Aleksandra Kwaśniewskiego** oraz Dacię byłego premiera **Jerzego Buzka**. Są też Jaguary **Bogusława Lindy** i **Grażyny Szapołowskiej**. Ciekawym eksponatem jest nieduża ciężarówka marki Austin, którą **Sue Ryder** przez wiele lat woziła do Polski pomoc humanitarną. Inną ciekawostką jest motoriksza z Tajlandii. Bardziej popularna jest u nas legendarna londyńska taksówka. Mało kto jednak wie, że jej drzwi blokowały się, kiedy kierowca naciskał na hamulec.

Każdy samochód ma swoją historię, której opisanie zajęło by wiele stron. Na przykład taki przedwojenny Adler. W czasie II wojny światowej należał do niemieckiego burmistrza w

jednym z miast na Podhalu. Kiedy uciekał on przed Armią Czerwoną, powierzył samochód gaździe, zaznaczając że kiedyś po niego wróci. Minęło kilkadziesiąt lat, aż o Adlerze dowiedzieli się państwo Mikiciukowie. Gazda najpierw nie chciał sprzedać samochodu, bo mówił, że właściciel ma po niego wrócić. Trzeba było napisać specjalne oświadczenie, że samochód znajduje się u innych właścicieli, od których można go odebrać. Ale to nie był koniec przygód. Okazało się, że przedwojenny Adler stoi w komórce, którą należało w części zburzyć, żeby go wydstać na zewnątrz. Potem należało ją odbudować.

Mały, niezwykle sympatyczny samochodzik BMW Dixi znaleźli poprzez ogłoszenie.



Nie wszystkie eksponaty muzealne muszą stać w bezruchu. Niektóre z nich powinny, a nawet muszą jeździć.

Właściciel, starszy pan, zaprosił ich do niewielkiego mieszkania na dziesiątym piętrze w bloku. Jeden z pokoi zajmowała „dixówka”. Okazało się, że żona właściciela postawiła mu ultimatum: albo ona, albo samochód w pokoju.

Czasami historia odkrywa się sama: w czasie remontu stareńkiego Oaklanda mechanicy odnaleźli zaszyte w tapicerce oryginalne dokumenty zakupu samochodu z lat 20. Podobnie było podczas restaurowania ZIS-a: okazało się, że podgrzewane kanapy są wypełnione pierzem...

W Otrębusach jest też pokazna kolekcja ciężarówek. W Polsce jest niewiele zbieraczy tak dużych samochodów, bo do tego trzeba dysponować co najmniej hangarem i odpowiednim zapleczem technicznym o wiele większym niż w przypadku samochodów osobowych.

To nie wszystkie pojazdy, które można obejrzeć w podwarszawskim muzeum. Największą radość piszącego te słowa wywołał... saturator, z którego przed laty raczył się wodą sodową z sokiem, popularnie nazywaną gruzliczanką.

Czerwono na Chłodnej

Na ulicy Chłodnej, w Muzeum Pożarnictwa, które mieści się w starej remizie, obok różnego rodzaju eksponatów strażackich można obejrzeć cztery zabytkowe wozy straży ogniowej. W tym przypadku liczy się jakość, a nie ilość. Wszystkie

ze zrozumiałych względów są czerwone, wszystkie unikatowe na skalę światową. Flagowy eksponat to Chevrolet z roku 1922, wciąż na chodzie. Mógłby jeszcze wyjechać do jakiegoś niewielkiego pożaru. Najstarszy jest wóz gaśniczy z motopompą na amerykańskim podwoziu z roku 1919. Stanowi swojego rodzaju zagadkę, ponieważ nawet znawcy pojazdów z tego okresu nie są w stanie podać jego marki. Prawdopodobnie firma istniała krótko i nie zajęła znaczącego miejsca w historii motoryzacji, przez co ten samochód jest szczególnie interesujący. Rok młodsza jest tzw. drabina SD-26 produkcji francusko-niemieckiej. Najmłodszy jest wóz na podwoziu licencyjnego Fiata, pochodzący z roku 1936. Są to samochody otwarte, które mają jedynie przednią szybę albo budkę z daszkiem. Strażacy wyjeżdżający do pożarów latem byli narażeni na palące słońce, a zimą – na trzaskający mróz.

Niełatwo zobaczyć te motoryzacyjne perełki, bo muzeum jest czynne w dni powszednie, zaledwie przez cztery godziny. Warto jednak poświęcić kilka chwil, żeby nie tylko zobaczyć te samochody, ale też poczuć ich specyficzny zapach. We wnętrzach miesza się woń starej skóry z foteli, charakterystyczne zapachy smaru i paliwa, które przez lata wsiąkały w tapicerkę. To najdobitniej świadczy o tym, że wszystkie pojazdy opisane powyżej mają

swoją niepowtarzalną historię писaną tysiącami przejechanych kilometrów.

Tajne/poufne

Są muzea, które można zwiedzać i oglądać w nich eksponaty. Ale są też miejsca,

W prywatnych kolekcjach, które nie są udostępniane zwiedzającym, znajdują się interesujące samochody: Renault 4, wyprodukowane w Maroku albo jedyny w kraju Wartburg 312 kabriolet z pierwszego roku produkcji.

gdzie znajdują się prawdziwe perełki motoryzacji zabytkowej, nie udostępniane szerszej publiczności. To prywatne kolekcje zabytkowych pojazdów. Cieszą oczy tylko ich właścicieli. Jedynym sposobem, aby zobaczyć chociaż część takich „utajnionych” zbiorów, są rajdy i zloty pojazdów zabytkowych.

Takich miejsc w okolicach Warszawy jest kilka. W ciepłarnianych warunkach garażują tam takie samochody, jak legendarny Ford Mustang, który – prawdę mówiąc – nie jest rarytasem kolekcjonerskim, ale samochody amerykańskie zdobyły sobie wielu zwolenników w Polsce. Gdzie indziej znajduje się kolekcja Jaguarów E-type, a nawet Ferrari z lat 80. Ich właściciele są dumni, że mogą w domowym zaciszu posłuchać gangu silnika i wybrać się na przejażdżkę.

Ciekawsze są jednak samochody, które były popularne i dzisiaj pozornie nie stanowią zbyt dużej atrakcji, takie jak Renault 4. Jeden z nich znajduje się również w takiej kolekcji. Jego oryginalność polega na tym, że został zmontowany w

marokańskiej fabryce Renaulta i kilkakrotnie pokonał na kołach trasę Polska-Maroko. Należał niegdyś do lekarza, który przebywał na placówce w tym afrykańskim kraju. Na kłapie bagażnika, pod aktualną rejestracją, są wymalowane arabskie znaki rejestracyjne.

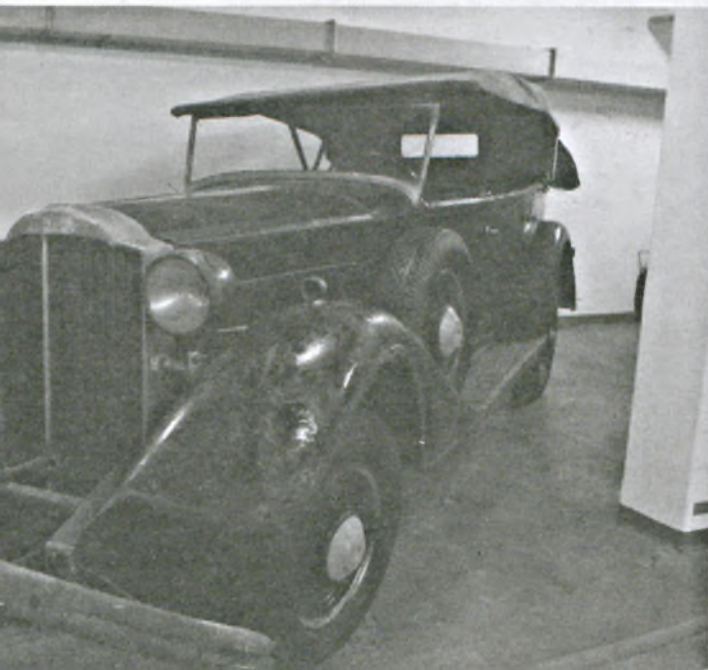
Innym rarytasem, który znajduje się w takiej kolekcji jest Wartburg 312 w wersji kabriolet, najprawdopodobniej jedyny w kraju. Samochód pochodzi z roku 1956 – pierwszego roku produkcji. Wykonano ich niewiele ponad 2600 egzemplarzy. Nawet w muzeum Wartburga w Eisenach jest późniejszy egzemplarz. Trudno to sobie wyobrazić, ale ten wytwór eneradowskich konstruktorów ma deskę rozdzielczą wykonaną z drewna, zupełnie jak w najbardziej luksusowych autach angielskich. Takim samochodem, ale w wersji coupé jeździł przed laty **Leon Niemczyk**, wzbudzając zachwyty przechodniów.

Niezależnie od tego, czy po-

Jeden z pojazdów w Muzeum Techniki, Oldsmobile „Curved dash” z roku 1901 został odnaleziony w roku 1947 przez ówczesnego dyrektora olsztyńskiego PKS-u za stodołą na wsi koło Mrągowa.

szczególne samochody mogą oglądać zwiedzający, czy pozostają one w zazdrośnie strzeżonych garażach, najważniejsze jest, że przetrwają one wiele lat i kolejne pokolenia będą mogły zobaczyć, że jazda samochodem całkowicie pozbawionym elektroniki była możliwa i dawała niesamowitą frajdę.

Tekst i zdjęcia:
MICHAŁ LEŚNIEWSKI



Opowieść o dwóch fabrykach

Tytuł jest trochę mylący, bo w przypadku jednego z opisywanych zakładów – cukierni – trudno nazwać go fabryką. Mało kto pamięta dziś, że w początkach XX wieku w centrum Warszawy istniało wiele różnego rodzaju zakładów przemysłowych. W podwórkach działały odlewnie, fabryki samochodowe, ale również cukiernie. Przyjrzyjmy się dwóm z nich, leżącym w pobliżu Politechniki: odlewni braci Łopieńskich oraz cukierni Lardellego.

Kiedy trafimy na ulicę Hożą, pod numerem 55 zobaczymy ceglany mur z widocznymi ponad nim niskimi zabudowaniami fabrycznymi. Nad posesją góruje stojąca w głębi zrujnowana kamienica. Są to pozostałości odlewni braci Łopieńskich, znanej niegdyś w całej Polsce. Kompleks budynków powstał w roku 1892 dla rusznikarza **Roberta Zieglera**, ale zabudowania fabryczki doskonale nadawały się również na potrzeby odlewni. Niepozorna z zewnątrz kamienica, w której mieszkali Łopieńscy, charakteryzowała się zapierającym dech w piersiach wystrojem, przywodzącym na myśl pałacowe rezydencje najświetniejszych rodów.

Na ulicy Hożej firma zdomowała się w roku 1900, ale prawie pół wieku wcześniej, w roku 1862 na Ordynackiej powstała pracownia założona przez **Jana Łopieńskiego**, który tego trudnego zawodu uczył się w Krakowie, Paryżu i Wiedniu. W zbiorach Muzeum Narodowego można znaleźć posąg św. Sebastiana, zaprojektowany w roku 1870 przez **Andrzeja Pruszyńskiego**, wykonany z brązu w odlewni braci Łopieńskich.

W piecu i na suwnicy

Zakład dobrze prosperował, skoro w roku 1912 powstała druga duża odlewnia rzeźb ze specjalnie sprowadzonym z Anglii piecem, tzw. morganowskim

oraz suwnicą o niebagatelnym wówczas udźwigu 6 ton.

Swoje produkty firma braci Łopieńskich sprzedawała w sklepach mieszczących się przy Nowym Świecie, a później przy Krakowskim Przedmieściu 15, w korytarzu Pałacu Potockich. W fabryce przy Hożej powstawały odlewy rzeźb projektowanych między innymi przez **Xawerego Dunikowskiego**, **Cypriana Godebskiego** oraz **Edwarda Wittiga**. Do dziś w kościele św. Karola Boromeusza można oglądać posąg Marii Panny, również wykonany przez braci Łopieńskich. Spośród pomników odlanych po roku 1918 można wymienić statuę **Jana Kilińskiego** oraz warszawską Syrenę, którą można oglądać nad Wisłą.

Już na początku ubiegłego wieku bracia zdobyli sobie renomę, poprzez wysokiej klasy wyroby z brązu, które dziś nazwalibyśmy bibelotami. Były to głównie figurki naśladujące francuską estetykę w rodzaju **Ludwika XIV**. Przede wszystkim odlewnia zaślęła dzięki odlaniu elementów pomnika **Adama Mickiewicza** oraz balustrady przy jasnogórskim ołtarzu.

Patelnie i granaty

W czasie II wojny światowej firma zmieniła profil wytwarzanych przedmiotów. Zamiast eleganckich figurek, w odlewni powstawały lampy karbidowe i patelnie. Kiedy w roku 1944 wybuchło Powstanie Warszawskie, piece wykorzystywano do produkcji skorup granatów odlanych z cynku pozyskanego z dachów okolicznych domów. Mimo ciężkich walk w tym

rejonie Warszawy, zakład Powstanie przetrwał.

Po zakończeniu wojny, już w roku 1945, przedwojenni właściciele **Tadeusz i Wiesław Łopieńscy** uruchomili piece i swoją pracę rozpoczęli od napraw zniszczonych stołecznych pomników: **Zygmunta III Wazy**, obydwu syrenek – znanej ze Starówki oraz z nabrzeża Wisły – **Kilińskiego**, **Mickiewicza**, **Mikołaja Kopernika** oraz posągu Chrystusa sprzed kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Dwa ostatnie odnaleziono porzucone w rowie w okolicach Nysy. Kiedy powracali do Warszawy, mieszkańcy z radością witali ciężarówki z posągami.

Pięć lat później firma została upaństwowiona niechlubnym dekretem prezydenta **Bolesława Bieruta**. Jeden z braci, **Tadeusz**, został zatrudniony w nowo utworzonej spółdzielni „Brąz dekoracyjny”. Po roku 1990 zabudowania popadły w ruinę, kilka lat temu w kamienicy wybuchł pożar. W stojących jeszcze halach nadal znajdują się piece i urządzenia, które niegdyś służyły do odlewania ogromnych rzeźb. Obecnie los fabryki został przesądzony.

Nazwisko Lardellego zakorzeniło się w przedwojennej Warszawie. Jego cukiernie, nie dość, że miały eleganckie wnętrza, to jeszcze podawano tam doskonałe ciastka: tartoletki z owocami, eklerki z kremem z żółtek oraz wysmienitą herbatę.

Starania miłośników zabytków o wpisanie kompleksu do rejestru zabytków spełży na niczym. W rejestrze znalazł się jedynie ceglany mur, odgradzający zabudo-



wania zakładu od ulicy. W miejscu zabudowań najprawdopodobniej powstaną apartamentowce.

Szwajcar w rotundzie

Taki los nie spotka rotundy, w której mieściła się jedna z najbardziej znanych

Wśród dokonania braci Łopieńskich można wymienić odlewy elementów pomnika Mickiewicza, nadwiślańską Syrenę oraz Pomnik Jana Kilińskiego. Oprócz tego firma produkowała figurki i posążki w stylu Ludwika XIV.

przedwojennych cukierni, nosząca nazwę „Chocolaterie Suisse G. G. Lardelli”, bo budynek już nie istnieje. Dziś w tym miejscu znajdują się bloki na skrzyżowaniu Polnej i Armii Ludowej, a po drugiej stronie ulicy znajduje się kompleks akademików „Riviera”. Początkowo fabryka łakoci mieściła się przy ulicy Kruczej, a następnie, do roku 1909, w kamienicy przy Boduena. Założył ją i prowadził Szwajcar **Giovanni Giacomo Lardelli**, który urodził się we włoskiej części kraju, w miejscowości Poschiavo.

Cukiernia na Boduena składała się z dwóch sal, w których zamiast kelnerów, jak to było w zwyczaju, pracowały kelnerki w jednakowych strojach. Lardelli przystąpił do ówczesnym sufrażystkom, bo był to pierwszy na ziemiach Królestwa Polskiego lokal tylko dla pań. Przy herbacie i ciastku mogły poczytać czasopisma kobiece z różnych stron świata, a nawet – zupełnie jak panowie, co nie było wówczas takie oczywiste – zagrać w szachy i bilard.

W roku 1907 cukiernik postanowił przenieść swoją firmę na obrzeża miasta. W związku z tym kupił dużą działkę przy ulicy Polnej 28/30, naprzeciwko istniejącego tu wówczas toru wyścigów konnych. Nie sposób powiedzieć, czy wiązało się to z projektowaną w tym miejscu dzielnicą marszałka **Józefa Piłsudskiego** (pisaliśmy o tym w numerze 2/2009 MPW), która miała stać się administracyjnym centrum Warszawy.

Na zakupionym terenie Lardelli zbudował nowoczesny zakład w formie charakterystycznej rotundy, w którym umieścił też – jak na Szwajcara przystało – wytwórnię czekolady. W skład zakupionego we Francji wyposażenia wchodził między innymi napędzany gazem silnik, który produkował prąd elektryczny. Jak na ówczesne czasy, była to cukiernia przyszłości: pełna automatyzacja i elektryfikacja. Podobno nawet łuskanie migdałów odbywało

się za pomocą specjalnej maszyny, a windy towarowe stanowiły element ciągu produkcyjnego. Do magazynów trafiały ogromne ilości owoców i ziarna kakaowego.

Dym psuje ciasta

Bywalcy kilku należących do przedsiębiorczego Szwajcara cukierni, mieszczących się w różnych latach przy Boduena 5 (obowiązywał tam zakaz palenia, bo dym tytoniowy mógł zaburzyć smak podawanych ciast), Nowym Świecie 27, ul. Marszałkowskiej 68, ul. Bagatela 3 (w ogródku odbywały się występy teatryków i wodewili), Wierzbowej oraz naprzeciwko Dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, z rozrzewnieniem wspominają smak serwowanych tam ciastek. Nietrudno sobie wyobrazić, jak mogły smakować paryskie briożki przypominające babeczki śmietankowe, tartoletki z owocami lub eklerki wypełnione kremem z żółtek z dodatkiem kawy i czekolady. To właśnie u Lardellego pojawiły się po raz pierwszy różne rodzaje herbatników, które sprzedawał na wynos. W roku 1904 na stolikach pojawiła się parzona herbata, która – odmiennie od współczesnej – była wkładana do jednorazowych, szytych ręcznie jedwabnych woreczków.

No i lody, które w początkach XX wieku były nie tylko daniem orzeźwiającym, ale również lekarstwem na choroby gardła, przepisywanym przez lekarzy. Niektóre z nich mogły wzbudzać kontrowersje – w

Dawniej na schorzenia gardła lekarze przepisywali lody. To jeszcze można zrozumieć, ale w cukierniach Lardellego, oprócz tradycyjnych, można było kupić lody o smaku kurczaka, ogórków albo piwa.

asortymencie znalazły się też lody „kurczakowe” z kawałkami piersi lub udka albo o smaku ogórków, sera lub... piwa.

Po I wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości, znany cukiernik postanowił nieco się „spolszczyć” i odtąd był znany jako **Jan Jakub**.

Cukiernia w rotundzie przy Polnej należała do szczególnie reprezentacyjnych spośród lokali zarządzanych przez Lardellego. Charakteryzowała się eleganckim wystrojem



wnętrza i estradą. Nic więc dziwnego, że zyskała sobie miano „wielkiego Lardellego”.

Po wybuchu II wojny światowej wszystkie lokale zostały zamknięte, ale po kapitulacji Warszawy otwarto je znowu. Jednak w roku 1940, w rotundzie przy Polnej jeden z dyrygentów tamtejszej orkiestry obraził uczucia Polaków i od tej pory mieszkańcy Warszawy zaczęli unikać wizyt w tym lokalu. Sprawilo to, że Szwajcar podpadł na zdrowiu i zmarł rok później. Ogromną firmę, w której pracowało ponad 150 cukierników i kilkudziesięciu urzędników, poprowadzili syn i synowa: **Aleksander i Margerita Lardelli**. Po zakończeniu II wojny światowej, ród znanych cukierników nie mógł prowadzić przedsiębiorstwa. Lardelli powrócili więc do Szwajcarii.

To tylko dwie znane przedwojenne firmy, które działały w centrum przedwojennej Warszawy. O ile, w przypadku cukierni, smakowite zapachy raczej nie przeszkadzały mieszkańcom miasta, to zakłady przemysłowe musiały się sukcesywnie wyprowadzać poza granice miasta. Miejsca, w których dymiły kominy fabryk, były zastępowane przez kamienice. Dlatego też warto pamiętać o reliktach przemysłowej Warszawy, póki jeszcze jest szansa, żeby je zobaczyć chociaż z ulicy.

Tekst i zdjęcia: **MICHAŁ LEŚNIEWSKI**

Moda

wała się toga rektora prof. **Marka Dietricha** z roku 1990 – uszyta została część z zielonego sukna wełnianego, natomiast pelerynę i mankiety z soboli przesyty z togi poprzedników. Z przodu toga z kólnierzykiem typu stójka ma kryzę wzdłuż guzików i jest ściągana pod szyją zielonym sznurem z chwostami i wiązana. Strój uzupełniają biret w kolorze zielonym.

W czasie kadencji prof. **Jerzego Woźnickiego** została uszyta nowa toga rektorska na wzór poprzedniej, tylko z futrem z kózek i namalowanymi plamkami. Ten strój używany był przez kolejnego rektora – prof. **Stanisława Mańkowskiego** i nosi go obecny – prof. **Włodzimierz Kurnik**.

Również byli rektorzy PW mogą używać specjalnych, uroczystych strojów, różniących się od tych, które przysługują aktualnym. Ich toga powinna przypominać togi prorektorów lub doktorów *honoris causa*, bez żadnych symboli władzy. Uszyta kilka lat temu taka toga nie ma wykończenia z futra, tylko wąskie paski z norek, wstawione na skraj peleryny.

Togi prorektorskie są czarne i nie mają żadnych futrzanych dodatków, pelerynka i mankiety są zielone, zapinane na zielony guzik. Kiedy prorektorzy się zmieniają, stroje są dopasowywane indywidualnie, na przykład podwijane rękawy i dół togi.

Ciekawym szczegółem jest to, że togi rektorskie i prorektorskie mają podwójne rękawy.

Stroje dziekańskie pochodzą z różnych okresów, bo przybywa

Jedną togę z wełny szyje się kilka dni, na samo doszycie futra potrzeba poświęcić półtora dnia, natomiast stroje z lepszych materiałów można szyć taśmowo i wtedy trwa to krócej.

odwinięte do góry i wierzch okrągły.

Aktualny statut Politechniki Warszawskiej mówi, że forma i barwa strojów akademickich oraz rodzaj insygniów odpowiadają ukształtowanemu na Politechnice Warszawskiej wycyzajom.

Czasem jak tarcza

W magazynie Działu Administracyjno-Gospodarczego zacho-

ich wraz ze zwiększaniem się liczby wydziałów. Na przykład kiedy Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej podzielił się na Wydział Fizyki oraz Matematyki i Nauk Informatycznych, czy też ostatnio, kiedy powstały nowe – Zarządzania oraz Administracji.

Niektóre z tóg mają sute marszczenia z przodu i na plecach, inne dodatkowo drapowania na rękawie

Trudno sobie wyobrazić przedstawicieli wyższych uczelni podczas inauguracji roku akademickiego bez tradycyjnych, uroczystych strojów oraz insygniów władzy. A powrót do obyczaju odbierania dyplomów w togach i biletach cieszy studentów.

Historii uroczystych strojów Akademickich na Politechnice Warszawskiej nie udało się odtworzyć od początku. **Zofia Jerzmanowska** w autobiografii zamieszczonej w nr. 1 Kwartalnika Historii Nauki i Techniki z roku 1988 opisuje, jak wyglądały podczas inauguracji roku 1924/1925.

(...) odbywała się bardzo uroczyste, rozpoczynała się Mszą św. w kościele Zbawiciela (...), skąd po nabożeństwie ruszał pochód w kierunku uczelni, niesiono sztandar Politechniki Warszawskiej, profesorowie ubrani byli w togi, natomiast cała młodzież studencka przywdziała czapki. Były one koloru czekolady, ze złotym sznurkiem nad daszkiem. Przez pierwsze lata studiów nosiłam taką czapkę i byłam bardzo dumna z tego, że jestem studentką. (...)

Wiadomo też, że miesiąc po tej uroczystości ppłk **Bogdan Hutten-Czapski**, były kurator Politechniki w latach 1915–1918, podarował uczelni ufundowane przez siebie łańcuchy rektorskie i dziekańskie.

W barwach Politechniki

Dzięki „Opisowi strojów uroczystych Politechniki Warszawskiej” – dokument z 30 grudnia 1965 roku sygnowany przez prof. **Eugeniusza Olszewskiego**, kierownika Katedry Historii Techniki na PW – odnalezionemu w Muzeum Politechniki można poznać szczegóły dotyczące tych ubiorów.

Toga rektora miała być wełniana, barwy zieleni cynobrowej ciemnej. Obramowanie przednie peleryny i mankiety rękawów obszyte białym gronostajem. Długość pelerynki z tyłu 32 cm i tyle samo szerokość rękawów zewnętrznych, na których gronostajowe lamowania winny być szerokości 16 cm. Guzy barwy, jak toga, ukryte. Sznur od pelerynki jasnozielony, pleciny z chwostami. Biret wełniany, miękki, barwy togi z tejże barwy guzem okrągłym, wełnianym na środku kwadratowego wierzchu. Wysokość biretu 10 cm.

Insygnia władzy rektorskiej to berło długości 76,5 cm, którego trzonek i głowica o maksymalnej szerokości 7 cm, miały być z drewna gruszkowego. Natomiast wierzchołek – z kryształu górskiego w oprawie mosiężnej, a okucia berła i 6 emblematów wydziałów na głowicy – ze srebra. Również ze srebra powinien być wykonany łańcuch, a pola godeł emaliowane. Na środkowym owalnym czerwonym polu herb Polski – biały orzeł, z białej emalii. Na bocznych polach barwy szandarowe Polski oraz 7 godeł Wydziałów. Pole środkowe podtrzymują syreny stanowiące główny element herbu Warszawy. Nad herbem Polski liczba MCMXV – rok założenia uczelni. Na zwisającej z łańcucha, srebrnej, połączanej gwieździe – srebrna sowa na polu ciemnoszafirowym. Długość osi łańcucha w obwodzie 100 cm.

akademicka

wach. Szyte są również z różnego rodzaju czarnych materiałów wełnianych. Wszystkie mają mały, zaokrąglony kołnierzyk, zielone mankiety i kryzę wokół guzików w kolorze zielonym, nie nakładaną oraz małą pelerynkę. Otok biretu zielony, przykrycie czarne z zielonym guzikiem.

Pozostali członkowie Senatu mają togi czarne z kołnierzykiem szalowym i pelerynką. Kryza i mankiety są zielone, a biret taki sam, jak dziekański. Od roku 2003 stroje te noszą również senatorzy-studenci, przedtem zakładali togi studenckie.

Pedle mają obecnie togę i biret w takim samym, ciemnobrązowym kolorze, o opisanym już charakterystycznym kształcie. Wcześniej nosili birety jasnobrązowe.

Czarne togi ściągane czarnym sznurkiem i czarny biret z czarnym guzikiem szyte są dla doktorów *honoris causa*. Tak samo wygląda toga promotora, nie ma jednak sznurka.

W nieodległej historii zdarzało się, że togi akademickie odgrywały ważną rolę nie tylko podczas uczelnianych uroczystości. Córka prof. **Andrzeja Houwalta**, prodziekana Wydziału Chemicznego, **Grażyna Sęk**, tak zapamiętała relację swojego ojca z zakończenia strajku na Politechnice w marcu 1968 roku:

(...) Rektor i Senat podjęli decyzję, że wyjdą w togach na początku pochodu, wskazując tym samym, że w pełni popierają strajk, a tym samym studentów. Kiedy otworzyły się wielkie drzwi, zobaczyli, że

na placu i szpalerem wzdłuż ulicy Polnej stoi niebiesko-granatowa masa, w hełmach, z grymasami na twarzach, z pałami.(...) I wtedy, razem z 3 kolegami senatorami, postanowili, że muszą zadbać o „te dzieciaki”. Tok rozmowania taty był taki: kiedy przejdzie Senat, za nim wyruszy pochód studentów zamknięty szpalerem milicjantów. Ci, po przepuszczeniu pierwszej grupy mogą zacząć ich co najmniej pałować.(...) Jeżeli członkowie Senatu ustawią się także na końcu pochodu, to jest szansa, że nie dojdzie do żadnej czynnej agresji.(...) Jak wymyślił, tak zrobili. Nikomu nic się nie stało. (...) („Politechnika i mój ojciec” Gazeta Wyborcza z 12.03.2008 r.)

Z lewej na prawą

W XV wieku na najstarszej polskiej uczelni, Uniwersytecie Jagiellońskim, każdy słuchacz miał obowiązek zakupu specjalnych strojów w dwóch wersjach. Mundurów noszonych na co dzień, których wygląd zależał od poziomu nauczania oraz wersji galowej, czyli togi. Do tej tradycji nawiązywały inne polskie uczelnie.

Uczniom Szkoły Przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego, otwartej w roku 1826, Komisja Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przypisała mundury uniwersyteckie z napisem na guzikach „Instytut Politechniczny”.

Z czasem zrezygnowano z mundurów i studenci nosili tylko czapki akademickie albo swoich organizacji.

Podczas rozpoczęcia roku akademickiego 1980/81 studenci rozpoczynający naukę na Politechnice Warszawskiej wystąpili w brązowych togach z zielonymi szalowymi kołnierzami, zapinanych na guziki i w brązowych biletach z zielonym guzikiem.

– W roku akademickim 2003/2004 zostały uszyte nowe

czarny biret z brązowym guzikiem. Togi zostały uszyte z lekkich i łatwych w utrzymaniu mieszanek poliestrow.

Stroje te są wypożyczane przez niektóre wydziały na własne uroczystości rozdania dyplomów.

Od dwóch lat na tę okoliczność Wydział Elektroniki i Technik Informatycznych ma własne ubiory.

Uroczysty strój współczesnych rektorów uczelni akademickich przypomina ubiory wysokich rangą duchownych. Składa się z togi z peleryną wykończoną – podobnie jak rękawy – futrem, z biretu i czasami rękawiczek oraz z insygniów władzy, czyli berła i łańcucha z emblematami oraz, ewentualnie, pierścienia.

togi studenckie i nowe birety dla prorektorów – mówi pani Kasia Jakuc z Działu Administracyjno-Gospodarczego, „opiekująca” się uroczystymi strojami. – Wcześniej biret prorektorski był czarny z zielonym pokryciem, obecnie jest on cały z zielonego sukna.

Wybór kroju nowych tóg studenckich konsultował, na prośbę rektora Mańkowskiego, ówczesny dziekan Wydziału Architektury prof. **Maciej Kysiak**.

– Wcześniej przygotowaliśmy trzy modele i zorganizowaliśmy pokaz na Politechnice – opowiada **Małgorzata Dołżyńska** z zakładu krawieckiego szyjącego togi. – *Jeden tych wzorów został wybrany.*

Obecnie strój studentów wkładany na centralnej inauguracji roku akademickiego przez immatrykulowanych, a także doktorantów odbierających dyplomy, składa się z czarnej togi z peleryną wykończoną brązową lamówką, podobnie jak mankiety rękawów. Do tego

Czarne togi z brązową lamówką przy kołnierzu i na mankietach oraz czapki typu kepi – z kwadratowym wierzchem – nawiązujące do tradycji angielskich, czy też amerykańskich uczelni. Na otoku mają one logo i nazwę wydziału.

W czasie uroczystości brązowy frędzel przerzucany jest z lewej strony na prawą i od tego momentu studenci stają się pełnoprawnymi absolwentami.

– *Zamawiając gotowe stroje we wrocławskiej pracowni, przyjęliśmy średnią liczbę osób kończących studia każdego roku. Zostało uszyte 250 tóg i – jak do tej pory – dla nikogo nie zabrakło – mówi Renata Gardian z dziekanatu WEITI. – Dla studentek przewidziane są małe rozmiary, ale najwięcej jest dużych, choć zdarza się, że i to za*

Po II wojnie światowej obowiązywał zakaz używania na wyższych uczelniach polskich tóg i insygniów. Po roku 1956 ponownie wprowadzano stroje akademickie.

mało, bo albo na kogoś toga jest za krótka, albo biret trochę ciśnie.

Togi od elektroników wypożyczają inne wydziały – Elektryczny oraz Matematyki i Nauk Informatycznych. Tylko nakrycia głowy mają własne, elektrycy – kepi z logo wydziału i czarnym frędzlem, a matematycy czarne birety z guzikiem.

Wręczanie dyplomów odbywa się raz lub dwa razy do roku, a studenci bardzo są zadowoleni z tak uroczystej oprawy.

Tekst i zdjęcia:

ANNA ABRAMCZYK



Geodeta z Emiratów

Odpowiedź na pytanie, kim jest – w sensie zawodowym – sprawa mu niejaka trudność. Ze śmiechem odpowiada, że czuje się po części „telekomunikantem”, po części konsultantem w zakresie projektów europejskich, po części geodetą, choć ten wyuczony zawód traktuje raczej jako hobby.

Na pewno jest człowiekiem niezwykle otwartym, tolerancyjnym w pełnym tego słowa znaczeniu i może dlatego nie schematycznym.

Dr MAREK POLAK, od ponad roku dyrektor Centrum Współpracy Międzynarodowej PW, powrócił na uczelnię po wielu latach. Odszedł z niej już po doktoracie, który robił na swoim macierzystym Wydziale Geodezji i Kartografii. Zajmował się między innymi zagadnieniami bezpieczeństwa budowli wodnych i innych konstrukcji inżynierskich oraz przemieszczeń i odkształceń na terenach objętych eksploatacją górniczą. Nie sądził, że przyjdzie mu kiedyś badać je w warunkach poniekąd ekstremalnych.

W oku cyklonu

Zaczął się normalnie. Został, wraz z pięcioma innymi Polakami, zatrudniony jako konsultant. Mieli badać i obserwować wielką zapórę wodną w irańskim Kurdystanie, niedaleko granicy Iranu i Turcji.

– *To dziki i niebezpieczny kraj. Nie tylko w znaczeniu krajobrazowym. Także i dlatego, że w promieniu 200 km nie było innego „białego człowieka”, ale by tam dotrzeć trzeba było mieć list żelazny i eskortę. Trwała okrutna wojna domowa pomiędzy Arabami i Kurdami. Bywało, że śmierć zaglądała nam w oczy, widzieliśmy mnóstwo tragedii, były dziesiątki trudnych sytuacji, ale „polskimi metodami” ułożyliśmy sobie stosunki z miejscowym garnizonem, ludnością tubylczą oraz partyzantami. Choć – dodaje – z Kurdami nie było łatwo współżyć. To prości ludzie, kierujący się głównie emocjami.*

Warunki bytowe także pozostawiały wiele do życzenia. Mieszkali wszyscy w jednym pokoju jedyne w tej okolicy murowanego budynku.

– *Na miejscu do jedzenia mieliśmy arbuzy, cebulę, placki pieczone na ogniu i austriackie serki w puszkach. By kupić coś innego, należało udać się do odległego Bagdadu.*

Mimo tych spartańskich warunków, spędził tam 2,5 roku.

Zapora, przy której pracował, została wybudowana przez Amerykanów, ale – jak mówi dr Polak – z wadami. Gdyby doszło do katastrofy, masa wody stłoczona w sztucznym zbiorniku zaląaby odległy o 500 km Bagdad.

– *Obiekt był olbrzymi, a rozwiązania nietypowe. Ponadto nasza praca miała w dużej części charakter badawczy, więc zostaliśmy wyposażeni w sprzęt na najwyższym światowym poziomie. Z punktu widzenia zawodowego było to bardzo interesujące doświadczenie. Dwaj moi koledzy po powrocie obronili doktoraty. Dla mnie była to pierwsza, wielka przygoda.*

Bakcyl wschodni

Po zakończeniu kontraktu zaproponowano mu objęcie technicznego kierownictwa dużej polskiej jednostki eksportowej w Bagdadzie. Tu była już cywilizacja i mógł sprowadzić rodzinę. Spędził tam 3,5 roku. Polacy oferowali szeroki wachlarz usług w dziedzinie geodezji, kartografii, planowania przestrzennego, budownictwa drogowego.

– *Było mnóstwo kontraktów i grup rozsianych po całym Iraku. Dobrze się w tym wszystkim czułem, a Wschód coraz bardziej się we mnie zakorzeniał. Nadal byłem pracownikiem PW, ale na urlopie bezpłatnym. Jesienią 1981 roku przyjechałem, aby go przedłużyć. Czas był politycznie trudny, ja długo już byłem za granicą, dziekan oznajmił mi więc, że powinienem wracać. Pewnie bym tak zrobił, ale negocjowałem wtedy olbrzymi, największy wówczas usługowy kontrakt. Mieliśmy opracować dla Bagdadu – kilkumilionowego miasta – wielkoskalową, nowoczesną mapę „wszystkiego”, czyli tego, co się znajduje na ziemi i pod nią. Przedsięwzięcie na lata. Prosiłem, aby mi pozwolono przeprowadzić chociaż negocjacje. Rektor był wtedy pod silną presją. Nie dawał nadziei, ale poradził złożyć podanie. Dostałem odmowę i – z pewnym za-*

lem – rozstałem się z uczelnią. Wyjechałem, ale już nie jako jej pracownik.

Przytuliła go potem – jak mówi – firma eksportowa, w której zajął się sprawami Dalekiego i Bliskiego Wschodu. W ten sposób trafił do Emiratów Arabskich i tam z miejscowym partnerem, pod szyldem „Geokartu Abu Dhabi”, założył prywatną firmę doradztwa inżynierskiego w zakresie spójnym z jego zawodem – geodezją, kartografią, planowaniem przestrzennym i budownictwem drogowym.

– *Tak zaczęła się moja druga, trwająca kilkanaście lat, przygoda pod tytułem „Emiraty i okolice”. Różnorodne inwestycje, consulting, projekty geodezyjno-kartograficzne, architektoniczne i drogowe – zarówno w Emiratach, jak i Kuwejcie, Bahrajnie, Omanie, Katarze, Egipcie, Maroku, Arabii Saudyjskiej, pobliskich Indiach i Sri Lance.*

Okres pobytu na Wschodzie uważają wraz z żoną za najbardziej intensywny i wartościowy pod każdym względem, nie tyle ze względu na standard życia, ile z uwagi na jego jakość.

Daleko odszedł od geodezji i kartografii, ale pielęgnuje hobbystycznie działeczkę, która nazywa się Systemy Informacji Przestrzennej.

– *Mieliśmy wtedy największy kontakt z kulturą przez duże „K”. Wprawdzie w Emiratach było tylko 200 polskich rodzin, ale przyjeżdżali do nas z kraju artyści dużej klasy. Muzycy, piosenkarze, nawet gościliśmy małoobsadowe przedstawienia teatralne. Mieliśmy także kontakt z tamtejszą kulturą oraz tą, którą oni importowali do siebie.*

Różnorodność kulturalna, bogactwo stylów i ich współistnienie są jego zdaniem wynikiem tego, że Emiraty to kraj bardzo tolerancyjny. Nasze wyobrażenie o świecie arabskim uważa za schematyczne i często niesprawiedliwe.

– *Nie wiem, jak dziś, ale wtedy te kraje wolne były od patologii. Nie tylko ja czułem się*





tam bezpiecznie i komfortowo – żona także. Kiedyś, w jakimś sklepiku, po zapłaceniu, wsunąłem tak niezręcznie portfel do kieszeni, że upadł na ziemię, czego nie zauważyłem. Zorientowałem się po godzinie. Wróciłem. Oddano mi nietknięty.

Jak Allah pozwoli

Różnice mentalne, wynikające z odmienności kultur i religii, oczywiście istnieją. Wspomina, że w założonej przy jego firmie pracowni architektonicznej projektanci musieli uwzględniać, wynikające ze zwyczajów, różne ciągi komunikacyjne – inne dla kobiet

Zawodową przygodę na Wschodzie zaczął w dzikim Kurdystanie. Potem był Irak, Emiraty Arabskie i praca w wielu innych krajach arabskich.

i dla mężczyzn. Nie zgadza się jednak z powszechnym przekonaniem, że kobiety są tam dyskryminowane.

– *Wyjątek stanowi Arabia Saudyjska, w której kobiety są rzeczywiście ciemżone – nie mogą same wychodzić z domu, prowadzić samochodu, nie biorą udziału w życiu publicznym. W wielu innych krajach arabskich sytuacja jest odmienna. Przede wszystkim nie zdajemy sobie sprawy, jak wysoką pozycję mają kobiety w domu i jak coraz bardziej ich rola zwiększa się także w życiu publicznym. Postrzegamy to jednostronnie, poprzez ich ubiór, który zakrywa twarz. Tymczasem wiele z nich robi to dobrowolnie, nie traktują tego jak uciemiężenia, mają wybór, ale za zastoną czują się anonimowe, może swobodniejsze.*

Wie, co mówi, bywał w wielu domach i tych – jak z opowieści tysiąca i jednej nocy – pałacach szejków, i zwykłych ludzi. Nauczył się, jak z ludźmi Wschodu rozmawiać i czego robić ani mówić nie wolno.

– *Przede wszystkim żartować z religii i jej obyczajów, ale także nadużywać imienia Bo-*

zego w taki sposób, jak my, Europejczycy to robimy, gdy wołamy np. „O Boże!” Natomiast nabrałem tam zwyczaju „dodawania do wypowiedzi „Inshallah”, czyli „jeśli Allah pozwoli”. Pobyt tam nauczył mnie przede wszystkim tolerancji we wszystkich wymiarach: kulturalnej, religijnej, obyczajowej i politycznej. To jedna ze zdobyczy tułania się po świecie. Już nie potrafię być inny.

Na powrót do Polski na stałe zdecydowali się nagle, ze względu na chorobę matki jego żony.

– *Miałem 48 lat, a w gazetach, w ogłoszeniach o pracę, pojawiały się adnotacje – do lat 45.*

Samorestrukturyzacja

Ale Allah widać nad nim czuwał, bo już po dwu tygodniach miał kolejną pracę.

– *Po odejściu ze swojej pierwszej firmy przeniosłem się do innej, informatycznej, w której byłem przez sześć lat m.in. dyrektorem jednego z oddziałów. Poszerzyłem swoje umiejętności i po powrocie w tej właśnie branży szukałem zajęcia. Pojawiła się wówczas u nas, mało jeszcze wtedy znana, Netia.*

Przeszedł w niej różne szczeble zawodowe – od kierownika projektu, przez dyrektora regionu, aż do członka grupy zarządzającej i dyrektora departamentu sieci. Zajmował się głównie inwestycjami i techniką, bowiem firma budowała wówczas w Polsce swoją infrastrukturę.

– *To był kolejny, piękny okres w moim życiu. Wysoka, międzynarodowa kultura pracy.*

Odszedł po 8 latach, a ściślej w dobrym towarzystwie członków grupy, która miała zrestrukturyzować firmę. Zrobili, czego od nich oczekiwano i w bardzo eleganckim stylu zakończyli pracę.

– *Przez chwilę krążyłem jako wolny elektryk. Bardzo mi się ta chwila podobała, zacząłem doradzać firmom zagranicznych. Znajomi zainteresowali mnie, mającym powstać w Warszawie, parkiem technologicznym. Wylądowałem więc w firmie, która się tym zajmowała, wykonałem opracowanie koncepcji i projekt, przygotowałem wnioski*

na dotacje europejskie, zgromadziłem inwestorów i...

Miasto, choć o tym głośno się nie mówi, z tego projektu się wycofało. A przynajmniej tak to wygląda. Ale od parku niedaleko było do PW, która współtworzy konsorcjum mające w tym projekcie udział. Często więc spotykał się zarówno z rektorem i prorektorem, którzy zaproponowali mu powrót na uczelnię.

Zachwyty, zastygnięcia i zagapienia

Teraz swoim, rozwiniętym podczas pracy na Wschodzie, fascynacjom turystyczno-krajoznawczym może poświęcić znacznie mniej czasu, ale podróżowanie to nadal jego i żony pasja. Bliski i Daleki Wschód to rejon świata, który poznał i do którego chce wracać. Marzy mu się wyjazd do Wietnamu i kolejna wyprawa – do Indii, o których mówi:

– *Aby dobrze poznać ten subkontynent, trzeba lat. My byliśmy tam tylko kilka tygodni. To stanowczo za krótko, choć było się czym zachwycać. Pamiętam, jak jeżdżąc po Sri Lance, widząc jakiś krajobraz azjatycki po prostu zamieraliśmy. Gdybym miał to namalować, to na pierwszym planie byłyby woły orzące pole, dalej tropikalna roślinność, bambusy, nietypowe drzewa i charakterystyczne sylwetki ludzi. To jak zapach, urzeka nagle i gdzieś w pamięci pozostaje. Pamiętam, gdy w Meksyku zastygliśmy na schodach świątyni w Palenque i siedzieliśmy wgapiając się w to, co nas otaczało. Takie zachwyty i zastygnięcia zdarzają się często, np. w Mihiantale – buddyjskiej Częstochowie na Sri Lance. Poraził nas spokój tego miejsca, góry, świątynie różnych wiar i majestatyczni, spokojni, zdążający do nich pielgrzymi.*

Centrum Współpracy Międzynarodowej, któremu szefuje Marek Polak, prowadzi działalność wykraczającą poza standardy i schematy. Według niego – jeśli działa się na rynku międzynarodowym – tak właśnie trzeba. Nie można skostnieć i zbiurokratyzować się.

Do Polski ze Wschodu inkorporował kuchnię – potrawy i przyprawy. Konstatuje, że to, co oferują orientalne restauracje i bary, niewiele ma wspólnego z tym, co jada się na Wschodzie naprawdę. Dom, pełen pamiątek, jest urządzony w stylu azjatycko-arabskim.

– *Wracam z pracy i od razu odżywają dawne klimaty – mówi.*

Ostatnio doszedł do wniosku, że bardzo zaniedbał Europę. Dlatego, choćby w weekendy – będzie się starał to nadrabiać.

JOANNA KOSMAŁSKA

Fot. z arch. dr. Marka Polaka



Miasto podglądaczy

Budzi mnie bujanie. Przez moment nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jestem. Aha! Już po chwili dociera. Leżę kilkanaście centymetrów pod sufitem w wagonie sypialnym pociągu wiozącego mnie do Bratysławy. Uspokojony tą myślą, przestaję zwracać uwagę na bujanie i szarpanie.

— **B**ratysława, proszę wstawać, dojeżdżamy... – tym razem budzi mnie teatralny szept konduktorki. Zaczynam niemrawo zbierać bagaże. Plecak, torba ze sprzętem fotograficznym... Chyba wszystko. Dochodzi szósta rano.

Parę minut później, obwieszony tobołkami, przyklejam nos do okna w korytarzu, próbując dostrzec zarysy miasta w szarości świtu. Pociąg już zatrzymuje się na stacji i wytarabaniam się z wagonu. Dworzec – pierwsze spotkanie z nowym miastem. Po peronie, w zimnym świetle jarzeniówek, przechadzają się gołębie. Pasażerowie – oczekując na swoje pociągi – podpierają ściany.

Wychodzę „w miasto”. Przed dworcem, w rzędach, stoją autobusy. Rozwożą zaspanych ludzi do pracy. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie pojechać z nimi, ale skoro hotel i dworzec są w centrum miasta, mogę się przejść. Wyluskuję z plecaka przewodnik. Jednak wcale tak blisko nie jest. Nic to! Doba hotelowa i tak zaczyna się od jedenastej. Więc idę. Najpierw na starówkę, potem do hotelu.

Zerkając na mapę, kieruję się w stronę Hlavného Náměstie, czyli głównego ryn-

ku. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, jak udaje mi się tam dojść. O szóstej rano, po ośmiu godzinach w pociągu, choćby w kuszetce, percepcja ma prawo wysiaść.

Kamieniczki kryte czerwoną dachówką podpowiadają, że już blisko. I tak jest. Starówka. I Hlavné Náměstie. Zmęczony, przysiadam na ławce, zrzucam z pleców coraz cięższy plecak. Obok jegomość w pierogu na głowie opiera się o ławkę. W bezruchu gapi się w przestrzeń. Żołnierz napoleoński z brązu, upamiętniający ostrzeliwanie Bratysławy z Petralki w roku 1809. Latem przysłuchuje się szczebiotom zakochanym par, w zimie służy jako znakomita podstawka dla grzanego

Bratysława jest miastem podglądaczy. Zza rogu wystaje Paparazzi, a z kanału wygląda Čmil. O wiele bardziej wyrozumiął jest żołnierz napoleoński, który nawet daje sobie postawić na głowie szklanekę z grzonym winem.

wina, którym raczą się wówczas bratysławianie.

Brązowi Paparazzi

Strzeżmy się! Starówka pełna jest podglądaczy. Nieopodal rynku, przy skrzyżowaniu Panskiej z Laurińską podpatruje nas uśmiechnięty Čmil, wyglądający z kanału. To żelazne miejsce pamiątkowych fotografii. Na Laurińskiej też trzeba uważać, bo na rogu czyha Paparazzi, na szczęście odlany z brązu, więc nie grożą nam kompromitujące fotografie w tabloidach. W okolicy możemy natknąć się jeszcze na postać **Schönera Náciego**,

który wita przechodniów machając cylindrem. Náci tak naprawdę nazywał się **Ignacy Lamar** i na początku XX wieku był stałym bywalcem staromiejskich knajpek, dodając im swoją osobą specyficznego klimatu. Na Hviezdoslavovom Náměstie spotkamy **Jana Christiana Andersena**. To najbardziej znane pomniki odlane z brązu. W całej Bratysławie jest ich około 150. Warto poświęcić jeden dzień, żeby znaleźć ich jak najwięcej.

Powoli rezygnuję z oglądania miasta. Najpierw muszę znaleźć drogę do hotelu Kiev, czyli Kijów. Nie można go nie zauważyć. Dwudziestopiętrowy kloc stoi w centrum miasta, ale mimo to wcale nie jest drogi. Kojarzy się z dawnym warszawskim Hotelem Forum. Ten sam styl: wchodzimy do środka i – znajdujemy się w latach siedemdziesiątch. Dla miłośników ówczesnego wzornictwa to prawdziwa gratka. Na ścianach królują piaskowce i panele z ciemnego drewna. Jadalnia przypomina o balach sylwestrowych tamtych lat. Nawet winda ma tabliczkę znamionową z rocznikiem 1972.

O hotel i przylegający do niego kompleks handlowo-usługowy trwa wśród bratysławian batalia, podobna do tej, jaka rozgorzała kiedyś u nas o Pałac Kultury i Nauki. Zburzyć! – grzmia jedni. Zachować! – wołają inni. Faktem jest, że hotel Kiev niezupełnie pasuje do okolicznej „starówkowej” zabudowy.

Na tym samym placu stoi jedenastopiętrowy wieżowiec, „Manderlák”. Gdyby nie informacja z przewodnika, nigdy bym nie pomyślał, że zaprojektowano go w roku 1935 dla mięsnego potentata, **Rudolfa Maderli**. Autorami gmachu byli architekci **Ernest Spitzer** i **Christian Ludwig**.

„Idzie się!”

Docieram wreszcie do hotelu, ale zamiast odpocząć po trudach podróży, ruszam w miasto. Porzucam ciężki plecak i ponownie zanurzam się w staromiejskie uliczki. Ale najpierw... w końcu jestem na Słowacji, czyż nie? Muszę przepłukać gardło prawdziwym słowackim piwem. Powiem tylko, że nie ma co porównywać tego napoju z polskimi wytworami produkowanymi z proszku. Po opróżnieniu kufła, idę na ulicę Basztową, Kapitułską i... jestem w średniowieczu. Zza zakrętu zaraz wyjdą halabardnicy wołający: „Idzie się, idzie się!” ostrzegający tym samym mieszkańców, żeby nie wylewali nieczystości przez okna na głowy przedstawicieli władzy. Nigdzie ani jednego samochodu, ani jednego znaku. Zniknęły wszystkie akcesoria współczesności. Cała starówka jest strefą przeznaczoną tylko dla pieszych. I jakoś tak się składa, że na zabytkowych kamieniczkach nie widać plachty reklam.

Gdzie by tu dalej...? Koniecznie trzeba obejrzeć hrad, czyli zamek. Stoi na wzgórzu, widoczny z każdego miejsca Bratysławy. Pierwsze informacje o nim sięgają IX wieku. W kolejnych stuleciach przechodził rozbudowy i przebudowy tak, aby nadał się za zmieniającymi się epokami. Dzisiejszy kształt, nazywany przez mieszkańców miasta „stołem”, bo rzeczywiście wygląda jak stół postawiony do góry nogami, uzyskał pod koniec XVIII wieku. W roku 1811 strawił go pożar. Z ruin został podźwignięty dopiero w roku 1968. Wówczas wiele odrestaurowanych pomieszczeń przeznaczono na wystawy Słowackiego Muzeum Narodowego.

Zachodnia część starej Bratysławy przypomina nieco warszawską Saską Kępcę: wiele tu przedwojennych willi, z tą różnicą, że dzielnica rozsiadła się na malowniczych wzgórzach. Roztacza się stąd panorama na zamek i najstarszą część stolicy Słowacji. Przez wieki na zboczach rosły winnice. Bardziej miejska zabudowa pojawiła się dopiero w początkach XX wieku. To najbardziej elegancka i najdroższa dzielnica Bra-

„Manderlaka” można łatwo przegapić. Mimo że stoi w samym centrum miasta, nikt nie uwierzy, że ten jedenasto-piętrowy budynek zbudowano w roku 1913. Zażył go sobie Rudolf Maderla, ówczesny potentat branży mięsnej.

tysławy. Ciekawostką jest mini-rezerwat przyrody przy jednej z uliczek wspinających się na wzgórze. Tabliczka zawieszona na lekko zardzewiałych drzwiach głosi: „Teren chroniony. Powierzchnia 0,48 ha. Rezerwat Dendrologiczny”.

Założony został w latach 1932–1935, jako część sanatorium zaprojektowanego przez bratysławskiego architekta **Jindricha Marganca**. Koncepcję stworzył ogrodnik **Jozef Mišák**. Rośnie tu około 120 gatunków drzew i roślin. Około 30 to drzewa iglaste, a 26 – wiecznie zielone i krzewy.

Po wyczerpującej wspinaczce wracam na dół. Po drodze mijam jeszcze Podgrodzie, leżące – jak sama nazwa wskazuje –

u stóp zamku. Tak naprawdę jest to średniowieczna płatanina uliczek, przy których stoją kilkusetletnie domy przetykane współczesnymi. Szczęśliwie większość z nich umiejętnie wkomponowana w zabytkową zabudowę. Perłą architektoniczną jest, charakterystycznie wąski, Dom Pod Dobrym Pastierzem z roku 1760.

Rozhlas i letádló

Powróćmy jeszcze na chwilę w okolice dworca, żeby zwiedzić Muzeum Dopravy, czyli transportu. Znajduje się ono w budynkach dawnego dworca kolejowego, zbudowanych w połowie XIX wieku. Gdy zwiedza się to muzeum, nie można oprzeć się refleksji, że w Bratysławie takie muzeum działa i ma się dobrze, stanowiąc turystyczną atrakcję, podczas gdy warszawskie muzeum motoryzacji musiało przenieść się z fabryki Norblina do piwnic kamienicy na Ochocie. O perypetiach Muzeum Kolejnictwa nie wspominając...

W Muzeum eksponowana jest większość modeli samochodów produkowanych w dawnej Czechosłowacji. Największymi mo-

toryzacyjnymi ciekawostkami są: jedyny istniejący prototyp minibusu Tatra 603MB oraz „eksperymentalni letádló”, czyli eksperymentalny samolot z silnikiem Trabanta. Miłośnicy kolejnictwa również spędzą tu długie godziny, przechadzając się pomiędzy „kofi mlynkem”, „krematorium” a „pomarančka”. Tak kolejarze, niekoniecznie pieszczotliwie, nazywali poszczególne typy lokomotyw.

Idąc z okolic dworca kolejowego w stronę starówki, można zobaczyć piramidę postawioną do góry nogami. To Slovenský Rozhlas, czyli słowackie radio. Projekt tego intrygującego budynku powstał w roku 1967, jednak budowę zakończono dopiero szesnaście lat później.

I z powrotem jestem na starówce. Wróciłem w okolice hotelu Kiev. Przysiadłem w starej hali targowej, żeby w knajpcie spróbować wina, którym obok mnie raczą

Odwrócona piramida to Slovenský Rozhlas, czyli rozgłośnia radia słowackiego. Jej budowa trwała szesnaście lat i ukończono ją w roku 1983. Jest uznawana za ciekawy przykład słowackiej architektury.

się wiekowi tubylcy. Takie sobie. Chyba jednak wolę piwo.

Zaraz, zaraz, a gdzie bloki, które są nieodłącznym składnikiem miast leżących w dawnych „demoludach”? Bratysława miała szczęście. Bloki stoją na Petrzałce, po drugiej stronie Dunaju. Niechętnie zerkam w tamtą stronę, bo sam mieszkam w dziesięciopiętrowcu z wielkiej płyty. Wolę stare zaułki. Zwłaszcza na wakacjach.

Znowu – wertując przewodnik – przysiadłem nad piwem. Przede mną jeszcze kilka dni w Bratysławie. Będzie co oglądać – Pałac Prezydencki z Fontanną Pokoju w postaci wielkiej metalowej

Mimo że starsi bratysławianie gustują w winie, żelaznym kulinarnym punktem wizyty w stolicy Słowacji jest jednak znakomite piwo i panierowany ser.

kuli, ulica Štefánikova, przy której stoją wielkie kamienice z przełomu XIX i XX wieku, tunel linii tramwajowej wykopany pod samym zamkiem. No i koniecznie muszą spróbować jedynej słusznej potrawy: panierowanego sera z sosem tatarskim.

A potem... może do Wiednia, który leży 70 kilometrów od Bratysławy? Ale to będzie już zupełnie inna historia...

Tekst i zdjęcia: MICHAŁ LEŚNIEWSKI



Promienie słońca przebijają się niemrawo przez sosnowe igły. W kwietniu ośrodek wypoczynkowy Politechniki Warszawskiej w Wildze gości niewiele osób. W większości są to wczasowicze, którzy chcą odpocząć w spokoju. W maju już takiej możliwości nie będzie, bo zacznie się sezon i Wilga, jak co roku, zaroi się od turystów.



Podobnie jest w Ośrodku Wypoczynkowym w Grybowie, który w tym roku obchodzi trzydziestopięciolecie. Politechnika Warszawska posiada cztery miejsca, w których mogą wypoczywać pracownicy uczelni. Dwa pozostałe to Sarbinowo Morskie i Ublik. W tym roku odwiedzimy jednak tylko dwa pierwsze. Za rok kolejne dwa. Każdy z nich jest piękny i oferuje odmienne walory wypoczynkowe i turystyczne. Warto zobaczyć i odpocząć w każdym z nich. Szkoda tylko, że urlop jest taki krótki.

Wśród wiewiórek

Na skrzyżowaniu dróg 76 i 801, zaraz za Celejowem, natrafiamy na Wilgę. Nie ptak to jednak, lecz malownicze miasteczko, w którym znajduje się jeden z czterech ośrodków wypoczynkowych Politechniki Warszawskiej.

(...) Położony jest w suchym sosnowym lesie w pobliżu rozlewisk Wisły i stawów rybnych. Leśne ścieżki i piękna przyroda zachęcają do dalekich wycieczek pieszych lub rowerowych. Bliskość Wisły i jej starorzecze umożliwia podziwianie piękna jednej z ostatnich nie uregulowanych wielkich rzek europejskich (...) – czytamy w ulotce ośrodka.

Doskonały mikroklimat to dodatkowy atut ośrodka w Wildze. Pobyt w nim szczególnie polecany jest osobom ze schorzeniami dróg oddechowych i układu krążenia.

Do bramy ośrodka prowadzi asfaltowa droga, ul. Wiewiórek, które podobno latem można tam spotkać. Za nią rozpościera się ponad dziesięciohektarowy teren, na którym znajdują się domki mieszkalne, stolówka, świetlica, plac zabaw dla dzieci, boiska sportowe i korty tenisowe. Ośrodek został założony w roku 1966. Teren podzielono na trzy części. W każdej z nich znajdują się domki mieszkalne o różnym standardzie. Pierwsza część, najbliższa bramie wjazdowej i recepcji ośrodka, pochodzi z roku 1966. Drugą zabudowano

siedem lat później, a trzecią w roku 1977. W sumie na terenie ośrodka znajduje się sto dziewięćdziesiąt miejsc noclegowych. Co roku wykonywane są najpotrzebniejsze remonty, a niektóre z domków otrzymały ocieplenie. Mimo to ośrodek potrzebuje gruntownego odświeżenia i nowej funkcji. Jego wypoczynkowy charakter, przy wielu zaletach tego miejsca, przestaje się sprawdzać. Zaletą OW Wilga jest bliskość Warszawy. Można to wykorzystać, przemianowując ośrodek na dydaktyczno-szkoleniowy lub konferencyjno-wypoczynkowy. Żeby to jednak uczynić, należy wybudować nowe budynki. Miejsce na to jest, jedynie z pieniędzmi może być problem.

Gdybyśmy mogli spełniać marzenie, w OW Wilga powinien stanąć całoroczny budynek mieszkalny z salami konferencyjno-dydaktycznymi. Przydałby się też basen i odnowa biologiczna, która – w połączeniu z mikroklimatem – mogłaby wzbogacić ofertę o charakter uzdrowiskowy. Odnowienie i powiększenie infrastruktury sportowej dałoby kolejną rzeszę klientów w postaci uczestników obozów sportowych, choćby dla politechnicznych siatkarzy, koszykarzy, szczypiornistów. Na nudę w Wildze nie można narzekać. Tras rowerowych i miejsc, które warto odwiedzić, jest wiele. Rowerów można wypożyczyć w ośrodku.

Sześćdziesiąt kilometrów od Warszawy możemy wypocząć w ciszy i spokoju. Ośrodek Wypoczynkowy Politechniki Warszawskiej w Wildze jest wspaniałym do tego miejscem.

Piętnaście kilometrów od Wilgi leżą Maciejowice. To malowniczo położone miasteczko oferuje niezwykle spotkanie z historią. Znajdziemy tu neogotycką basztę z I

połowy XIX w, pamiętki i budowie związane z rodem **Zamoyskich** (grobowiec, zabytkowy zamek), a także z naszym bohaterem narodowym – **Tadeuszem Kościuszką**. W zabytkowym ratuszu znajduje się muzeum poświęcone jego osobie. Nie opodal Maciejowic, w Krępie, natrafimy na usypany 8.04.1861 roku, z inicjatywy maciejowickiego wikarego ks. **Józefa Burzyńskiego**, kopiec Kościuszki. W tym miejscu generał został zraniony i pojmany.

To nie jedyne atrakcje w okolicach OW Wilga. W odległości sześciu kilometrów znajduje się zabytkowy kościółek Księży Marianów, a w Górkach koło Garwolina Sanktuarium Maryjne Matki Boskiej Fatimskiej. Dla spragnionych wody, półtora kilometra od ośrodka znajduje się kąpielisko nad Wisłą. Podobno w tym miejscu woda jest czysta, ale najlepiej sprawdzić to osobiście.

W nieogodę Wilga proponuje salę telewizyjną, grę w tenisa stołowego oraz spacer.

Poligon z poligonu

Ulica Chłodna w Grybowie wcale do chłodnych nie należy. Właśnie tu, pod numerem 16, znajduje się jeden z czterech ośrodków Politechniki Warszawskiej, w którym przez cały rok można znaleźć nocleg, dobre jedzenie i doskonały punkt wypadowy do pieszych wycieczek. Grybów położony jest w Beskidzie Sądeckim na trasie do Krynicy Górskiej i Gorlic. W tym roku ośrodek w PW obchodzi trzydziestopięciolecie istnienia. Został założony w latach sześćdziesiątych przez przedstawicieli Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Szukano miejsca pod „poligon dydaktyczny” dla studentów tegoż wydziału. Dr. **Zbigniewowi Andersowi** Grybów przypadł do gustu, a gdy okazało się, że Wojskowa Jednostka Obrony Terytorialnej chętnie przekaze dwu-

Czas na wypoczynek

hektarowy teren wraz zabudowaniami, nie zastanawiał się długo. Od tej chwili co roku ośrodek w Grybowie huczał od studenckiego życia. Początkowo praktykanci mieszkali w internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej i budynku Liceum Ogólnokształcącego. Trwało to do roku 1973, gdy na gruzach zabudowań poligonowych został ukończony i oddany do użytku Ośrodek Szkoleniowy Wydziału Geodezji i Kartografii PW. Od początku, do roku 1984, kierownikiem jednostki był mgr **Józef Piotrowski**. Przez kolejne trzy lata zarządzała nim **Jolanta Wielgus**. Obecnie kierownikiem ośrodka jest **Anna**

Trzydzieści pięć lat temu przedstawiciele Politechniki Warszawskiej zawitali do Grybowa. Od tej pory praktyki studenckie, ośrodek wypoczynkowy i uczelnia na trwałe związane są z tym malowniczym zakątkiem.

Kania. W latach swej świetności w OW Grybów zatrudnionych było około trzydziestu osób. W latach dziewięćdziesiątych nastąpiła redukcja etatów. Obecnie w ośrodku pracuje siedem osób.

W zamyśle założycieli, Grybów miał spełniać rolę ośrodka sezonowego, nastawionego jedynie na studentów Geodezji. Z czasem jednak okazało się, że z powodzeniem może pełnić funkcję całoroczną, a bogata oferta wypoczynkowo-konferencyjna zapewni środki na jego utrzymanie. Oprócz Politechniki Warszawskiej praktyki studenckie organizowały tu inne uczelnie: Akademia Górniczo-Hutnicza z Krakowa i Akademia Rolnicza z Olsztyna. Obecnie ośrodek pełni wieloraką funkcję: dydaktyczną (ćwiczenia polowe, zielone i białe szkoły), szkoleniową (konferencje i szkolenia), wypoczynkową (wczasy, wycieczki, obozy, kolonie) oraz hotelową. Dodatkowo oferowana jest organizacja wesel, zabaw karnawałowych, imprez integracyjnych i okolicznościowych.

Teren, na którym leży Grybów, oferuje mnóstwo atrakcji. Dla entuzjastów wycieczek pieszych do dyspozycji jest wiele szlaków. Rowerzyści także nie będą się tu nudzić. Należy się jednak wcześniej przygotować fizycznie, bo atrakcyjne trasy rowerowe wymagają niemałej sprawności. Osoby spragnione odpoczynku nad wodą mają do dyspozycji oddalony o czternaście kilometrów zalew w miejscowości Klimków-

ka. Można tu uprawiać sporty wodne. Do dyspozycji jest także basen działający w Ośrodku Rehabilitacji w Stróżach (5 km). Zimą Grybów jest miejscem, w którym z powodzeniem można uprawiać białe sporty. W odległości kilkunastu kilometrów od ośrodka znajdują się wyciągi narciarskie i trasy zjazdowe o różnym stopniu trudności. Na nudę nie będą też narzekać entuzjaści narciarstwa biegowego.

Historia samego Grybowa jest bardzo ciekawa. Został założony w roku 1340 przez **Hanka Bogacza**, któremu to prawo nadał **Kazimierz Wielki**. Miejsce zostało wybrane rozważnie, gdyż istniała tu już dobrze rozwinięta osada, a także krzyżowały się szlaki handlowe w stronę Rusi i Węgier. Największy rozwój miasta miał miejsce w wieku XVI i na początku XVII. Potem różne koleje historii Polski doświadczały Grybów. W roku 1770 miasto znalazło się pod panowaniem Austrii. Podczas II wojny światowej znajdował się tu obóz jeniecki. Ofensywa Armii Czerwonej spowodowała wycofanie się Niemców, którzy zdążyli jeszcze wysadzić pomost kołowy i przepiękny, kamienny wiadukt, odbudowany w roku 1949. Kilka lat później do Grybowa zawitali przedstawiciele Politechniki Warszawskiej. Z historią miasta można spotkać się w muzeum znajdującym się w zabytkowej plebani oraz w neogotyckim kościele parafialnym.

Ośrodek ma spore możliwości, ale – podobnie jak Wilga – potrzebuje doinwestowania. Przydałoby się wielofunkcyjne boisko sportowe, przeprowadzenie kilku remontów, a także doprowadzenie internetu oraz stworzenie sali konferencyjnej z odpowiednim wyposażeniem.

Jednym z najpoważniejszych problemów jest poszerzenie drogi dojazdowej, która obecnie jest zbyt wąska dla dużych autokarów, a przez to niebezpieczna. Okazuje się, że nie jest to problem finansów, lecz prawa do własności gruntów.

Ośrodek powstał z potrzeby prowadzenia praktyk studenckich z geodezji i kartografii. Przez kilkadziesiąt lat powstała tu baza laboratoryjna z prawdziwego zdarzenia, jakiej mogą nam pozazdrościć wszystkie uczelnie w Polsce. Długo by wymieniać, co się na nią składa. Poligon do praktykowania pomiarów satelitarnych, linie niwelacyjne z zastabilizowanymi znakami pomiarowymi do niwelacji precyzyjnej geometrycznej i trygonometrycznej, baza do testowania dalmierzy elektromagnetycznych – to tylko niewielka część tego, z czego od wielu lat studenci Politechniki Warszawskiej mogą korzystać. Zdaniem absolwentów Wydziału Geodezji i Kartografii, praktyki studenckie w Grybowie były niezapomnianym przeżyciem i prakty-

Wakacje za pasem, a my nie wiemy jeszcze, gdzie pojechać. Jeśli nie byliście w Wildze i Grybowie, czas najwyższy odwiedzić te piękne, a co ważniejsze, „politechniczne” miejsca.

ką, jaka wielokrotnie przydawała im się w późniejszej pracy zawodowej.

❖ ❖ ❖

Zarówno Wilga, jak i Grybów to dwa piękne miejsca, które warto odwiedzić. Przy odpowiednim dofinansowaniu i przemyślanej koncepcji, mogą same na siebie zarabiać. Jedną z najważniejszych spraw jest promocja. Przydałyby się ulotki, uczestnictwo w targach, a także – na przykład – organizowanie przez uczelnię obozów dla dzieci.

ZBIGNIEW ZAJĄC

Fot. z arch. ośr. wypocz. w Grybowie

i Zbigniew Zajęc



Z głową w chmurach

Kiedy ogląda prognozy pogody w mediach, ogarnia go rozpacz – jak można jedną chmurką pokazać zmiany na cały dzień. Do tego komentarze prezynterów, którzy w większości nie mają wykształcenia związanego z tym, co robią. A na końcu informacja, kto ich ubrał, a nie kto przygotował prognozę.

Dla podpułkownika rezerwy **MACIEJA OSTROWSKIEGO**, synoptyka z wykształcenia i z wieloletnim doświadczeniem, taka forma jest trudna do zaakceptowania. Zwłaszcza, że kilka lat temu sam przygotowywał prognozy dla porannego programu telewizyjnego „Kawa czy herbata”. Pracował w czteroosobowym zespole, między innymi z dr. **Robertem Sitnikiem** z Wydziału Mechatroniki, który z numerycznych prognoz realizował animacje zmian pogodowych za pomocą systemów komputerowych Silicon Graphics. Fronty przesuwały się, pole ciśnienia się przekształcało, rosła lub malała temperatura, pojawiały się opady. Nie było prezynterów, tylko prowadzący audycję czytali przygotowany tekst.

Zanim pan Maciej został meteorologiem z prawdziwego zdarzenia, wybrał studia na kierunku hydrogeologia na Wydziale Inżynierii Sanitarnej i Wodnej Politechniki Warszawskiej.

– *Odpowiadała mi uczelnia techniczna i kierunek związany z pracą w terenie, poszukiwaniem i odzyskiwaniem zasobów ropy naftowej.*

W tym czasie – w roku 1963 – na uczelniach obowiązywały jeszcze półroczne praktyki robotnicze, lansowane przez władze partyjne, żeby inteligencja techniczna miała pojęcie o pracy fizycznej.

– *Może sam pomysł nie był tak zły, jak wykonanie. Moja grupa trafiła na budowę polskiego ośrodka atomowego w Świerku koło Otwocka, gdzie dwa reaktory – EWA i MARIJA – już pracowały. Do moich obowiązków należało wykonywanie pomiarów temperatury, palenie w kociołku, odbieranie telefonów – jak nie było technika – i słuchanie opowieści robotników.*

Studenci przyglądali się, jak wygląda prawdziwa budowa, szczególnie temu, co się robi, kiedy zabraknie materiałów. Któregoś razu zawalił się zbiornik z odpadami promieniotwórczymi. Konstrukcja – która powinna przetrwać w ziemi setki lat – nie wytrzymała, ponieważ zbrojarz, z powodu

braku prętów dwunastometrowych, powiązał drutem krótsze.

– *Tego typu wydarzenia skutecznie zraziły mnie do budownictwa, bo jako inżynier nie chciałbym odpowiadać za realizację jakiegoś projektu, skoro wykonawcy, z różnych przyczyn, improwizowali w trakcie budowy, nie licząc się ze skutkami – mówi Maciej Ostrowski.*

Praktyki nie dość, że mało pożyteczne, to wybiły go z rytmu nauki, więc nie zaliczył pierwszego semestru na drugim roku. Jednak traf chciał, że zauważył ogłoszenie o naborze studentów po pierwszym semestrze na nowo utworzony Oddział Hydrologii i Meteorologii Technicznej – więc się zgłosił.

Szkoła życia

Na trzecim roku założył z kolegami Koło Naukowe Hydrologów i Meteorologów Studentów PW i został jego pierwszym prezesem. Działając w kole, studenci mieli okazję dowiedzieć się, na czym będzie polegał ich przyszły zawód. Organizowali obozy naukowe, między innymi do krakowskiego Zakładu Badań Rakietowych i Satelitarnych Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego. Pan Maciej był zapalonym narciarzem, więc wymyślił cykliczne obozy w Zakopanem. Koło realizowało tam projekt pomiaru – za pomocą balonów pilotażowych – rozkładu wiatrów nad kotłina.

– *Ciekawie to wyglądało, kiedy balon najpierw leciał prosto w górę i nagle na wysokości dwustu, trzystu metrów nad Gubałówką uciekał gdzieś w bok. Wykonaliśmy ponad dwieście pomiarów. I mogę się pochwalić, że przez czterdzieści lat nikt takiej serii nie powtórzył.*

Koło miało też wyjątkową gablotę – na jednym z filarów w holu przy wejściu do Gmachu Głównego. Znajdowały się w niej

przyrządy meteorologiczne. Wypożyczony z Katedry Meteorologii barograf tygodniowy, rysujący zmiany ciśnienia i termometr elektryczny. Pan Maciej skonstruował go wraz z kolegą z Elektroniki i sam zainstalował oraz połączył miernik z termistorem na zewnątrz budynku.

Termometr włączało się przyciskiem na ramie gablotki. Trzeba go było trochę przytrzymać, więc każdy, kto się zainteresował temperaturą, miał też chwilę, żeby zapoznać się z materiałami umieszczanymi w gablotce.

– *Działalność w kole naukowym była najlepszym doświadczeniem, jakie spotkało mnie w czasie studiów. Nauczyła mnie operatywności, pracy koncepcyjnej i zespołowej. Gorąco polecam wszystkim studentom – mówi pierwszy prezes koła hydrologów i meteorologów.*

Po dyplomie został na uczelni. Po rocznym stażu asystenckim miał nadzieję na etat. Jednak jeden z kolegów zajął jego miejsce, a

Pan Maciej uważa, że życie powinno dzielić się na trzy okresy. Pierwszy – kiedy człowiek się uczy i zdobywa praktykę. W drugim powinien pracować operacyjnie. W trzecim – nie czekając na zawał serca z przepracowania – powinien powiedzieć sobie „dosyć” i zacząć przekazać swoją wiedzę młodemu pokoleniu.

on z dnia na dzień został bez pracy. Moment na znalezienie nowej nie był najlepszy, bo w końcu roku 1970 nastąpiła ogólna blokada etatów. Zamienił się więc z żoną, która z urlopu macierzyńskiego wróciła do zawodu. On zaś zajął się małym synem i dalej rozglądał się za jakimś zatrudnieniem.

Odkrywanie Antarktydy

Przypadkiem, od znajomego, dowiedział się, że w wojsku szukają absolwentów meteorologii. Nie miał nic przeciwko temu, żeby



pracować dla wojska, ale chciał zostać pracownikiem cywilnym. Oficer z Dowództwa Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, do którego się zgłosił, przekonał go, żeby został zawodowym żołnierzem. Obiecał mu zatrudnienie w Warszawie i tylko roczną praktykę na którymś z okolicznych lotnisk. No i pensję dwa razy wyższą, niż mógłby dostać w cywilu.

Po kilku miesiącach trafił na stanowisko synoptyka w Centralnym Biurze Hydrometeorologicznym Wojsk Lotniczych.

– *Pełniłem dyżury na zmianę z kolegami, a poza tym miałem typowe dla wojskowych „rozrywki” – szkolenia, alarmy, strzelania. Zająć miałem z pewnością więcej niż synoptyk cywilny.*

Dobrze wspomina te czasy i atmosferę w wojsku. Ponieważ miał najlepsze wykształcenie kierunkowe w biurze, szef zachęcał go do pisania artykułów i wygłaszania prelekcji. Prowadził również zajęcia na Wojskowej Akademii Technicznej – z meteorologii synoptycznej oraz techniki pomiarów i obserwacji.

W roku 1976 zapadła decyzja o zorganizowaniu I Polskiej Wyprawy Antarktycznej Polskiej Akademii Nauk, przy wsparciu MON. Pod koniec przygotowań zaważono, że brakuje kogoś, kto zająłby się informacją meteorologiczną w czasie wyprawy. W ostatniej chwili ppłk Ostrowski dołączył do ekipy.

– *Przed wyjazdem przeczytałem kilka książek o Antarktydzie, które znalazłem w bibliotece. Po lekturze mina trochę mi zrzedła, bo okazało się, że wieją tam bardzo silne wiatry. Zdarzało się, że żaglowiec się oblodził, wyrzucił i w ciągu paru minut poszedł na dno.*

Z czasów studiów najlepiej wspomina działalność w kole naukowym – gorąco poleca wszystkim studentom.

Wyprawa wypłynęła w końcu grudnia i po miesiącu dotarła do wysp archipelagu Sztetlandy Południowe. Kilka dni szukano bezpiecznego miejsca na zbudowanie bazy, takiego, w którym nie byłoby kolonii pingwinów. Wybór padł na Wyspę Króla Jerzego.

– *Warunki były ciężkie, brakowało informacji, a prognozy trzeba było przygotować na następne cztery, pięć godzin, czyli na czas niezbędny do załadunku rzeczy na prom, przewiezienia ich na brzeg, rozładowania i powrotu na statek – wspomina pan Maciej.*

Przez dwa miesiące uczestniczył w budowie pierwszej polskiej stacji arktycznej – nazwanej imieniem **Henryka Arctowskiego** – po czym wyprawa ruszyła w drogę powrotną.

Katastrofy lotnicze

Pod koniec lat siedemdziesiątych Maciej Ostrowski został stałym członkiem Komisji Badania Wypadków Lotniczych MON.

– *Loty wojskowe – z definicji – są bardziej ryzykowne, dlatego też wypadków jest znacznie więcej niż w lotnictwie cywilnym. Za każdym razem trzeba było odtworzyć sytuację w chwili wypadku i zbadać, jaki wpływ miały warunki atmosferyczne.*

Jeden taki wypadek zdarzył się na wybrzeżu w Gdyni. Dwa samoloty leciały z północy do lotniska w Babich Dołach. W trasie jednemu z pilotów wyłączyło się radio, więc dowodzenie przejął drugi, który tuż przed lądowaniem dostał informację, że do lotniska właśnie doszła śnieżycy i mają lecieć do Malborka. „Pomachał” koledze skrzydłami, że zmieniają kierunek, ale sygnał prawdopodobnie został źle odczytany, bo młodszy pilot zaczął wykonywać manewr lądowania. Stracił orientację i panowanie nad samolotem. Chociaż zdążył się katapultować, zginął.

– *Nastąpił splot niepomysłnych okoliczności. Pogoda, zbyt późne ostrzeżenie o nadejściu śnieżycy, niedostateczne wyszkolenie pilotów, nie działający sprzęt – wspomina ppłk Ostrowski.*

Zbadał około dwudziestu takich, uwarunkowanych meteorologicznie, wypadków, które później opisał w książce „Meteorologia dla lotnictwa sportowego”. Te doświadczenia przydają mu się obecnie w pracy cywilnego eksperta Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

Natomiast książka powstała w związku z jego współpracą z aeroklubami.

– *Jeszcze będąc kierownikiem Centralnego Biura Hydrometeorologicznego otrzymywałem zapotrzebowanie na zapewnienie osłony meteorologicznej podczas zawodów szybowcowych lub balonowych i prowadziłem szkolenia z meteorologii lotniczej dla instruktorów sportów lotniczych.*

Wielokrotnie jeździł z polową stacją meteo na mistrzostwa Polski lub Europy odbywające się w naszym kraju – głównie w Lesznie – gdzie poznawał specyfikę szybownictwa, dla którego potrzebna jest inna prognoza niż dla lotów z silnikiem.

W rezerwie

Mimo służby w wojskach lotniczych i związków z szybownictwem, sam nigdy nie nauczył się latać, ponieważ nosił okulary, co dyskwalifikowało go jako pilota. Natomiast od czasów studiów jest zapalonym żeglarzem, instruktorem żeglarstwa. Pływał głównie po wodach śródlądowych, w okolicach Giżycka,

ale zdarzały się też rejsy morskie. Ostatnio – na pokładzie „Pogorii” – wykladał meteorologię dla żeglarzy.

Związał się też z pismem „Jachting”, którego redaktorem naczelnym jest kapitan **Krzysztof Baranowski**. Po napisaniu cyklu artykułów na temat meteorologii, zaczął pro-



wadzić rubrykę „Chmurne szpalty”, do której czytelnicy przysyłają zdjęcia chmur i opisują okoliczności pogodowe.

– *Podobnie jak w przypadku wypadków lotniczych, wyszukuję informacje na temat warunków atmosferycznych w tym miejscu i czasie. Na tej podstawie piszę komentarz. To taka forma dydaktyki.*

Nie jedyna. Maciej Ostrowski był też wykładowcą meteorologii synoptycznej i lotniczej

Obecnie pisuje komentarze synoptyka dla serwisu pogodowego Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego.

na Politechnice Warszawskiej. Nadal wyklada na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie dwa i pół roku temu – w Centrum Otwartej Multimedialnej Edukacji COME – został uruchomiony internetowy kurs „Meteorologia przez internet, prognozuj dla siebie”. Ostatnio wrócił też na Politechnikę, żeby wygłosić wykład dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku zatytułowany „Meteorologia dla seniora – skąd brać rzetelne informacje meteorologiczne”.

ANNA ABRAMCZYK

Fot. z arch. Macieja Ostrowskiego

i Anna Abramczyk



Spór pomiędzy zwolennikami nauki i paranauki trwa już od ponad wieku. Toczy się nie tylko o wyznaczenie granic. Każda ze stron tak mocno trzyma się swojego spojrzenia na świat, że dyskusje na ten temat są zazwyczaj burzliwe i budzą wśród uczestników silne emocje.

Na początku XX wieku powstał pomysł, żeby stworzyć linię demarkacyjną pomiędzy nauką a paranauką oraz określić, czym jest nauka, a czym nie jest. To jednak w pełni się nie udało.

– *Naukowcy uważają, że wiedzą, ale moim zdaniem to złudzenie* – twierdzi dr **Michał Urbański** z Wydziału Fizyki, prywatnie zajmujący się badaniami związanymi z parapsychologią, która w kręgach uniwersyteckich jest uznawana za jedną z dziedzin paranauki.

Dlaczego to rozgraniczenie jest złudzeniem?

Ponieważ metodologicznie nie da się tego udowodnić. Można to zrobić tylko w praktyce. Ale praktyka jest taka, że decyzję o tym, czym jest nauka i jakie dziedziny można do niej zaliczyć, podejmuje specjalna kasta profesorów rządząca nauką. Dlatego ich ocena zawsze była, jest i będzie subiektywna. Teoretycznie wydaje im się, że posiadają merytoryczne uzasadnienie, ale dyskusja na ten temat prowadzona przez filozo-

fów nauki trwa już ponad 100 lat. W swoich rozważaniach, zanim dojdą do omawiania granic, już wiedzą, że nie da się ich jednoznacznie określić.

Natomiast naukowcy twierdzą, że linię demarkacyjną pomiędzy nauką a paranauką wyznaczył **Karl Popper** zajmujący się filozofią nauki oraz filozofią społeczno-polityczną. W latach 30. ubiegłego wieku opracował on teorię falsyfikowalności. Stała się ona nowym kryterium naukowości. Według tej zasady

Można dotrzeć do granic nauki i zaczerpnąć z paranauki, to co dobre. Jednak, żeby tego dokonać, najpierw trzeba poznać to, co znajduje się poza obrębem nauki i zdobyć praktyczne doświadczenia w astrologii, bioenergoterapii czy też zjawiskach parapsychicznych.

zawsze możliwe jest przeprowadzenie eksperymentu, którego rezultat pozwoli na postawienie pod znakiem zapytania poprawności określonej teorii. Popper uważał, że większość tego, czym zajmują się naukowcy, to paranauka.

– *Zgadzam się z nim* – przyznaje dr Urbański – *mimo że przyznawanie się do takiej opinii w gronie akademickim jest równoznaczne z dolewaniem oliwy do ognia...*

Nauka czy fikcja?

To zagadnienie wiąże się jeszcze z dwoma problemami. Pierwszy dotyczy tego, co robi nauka i w jaki sposób jest to zorganizowane. Tymi zagadnieniami zajmuje się socjologia nauki. Natomiast drugi obejmuje kryteria merytoryczne, czyli metody naukowo-badawcze oraz ich istotę. Z punktu widzenia socjologicznego naukowiec musi „produkować” punkty filadelfijskie. Najlepiej jak najwięcej. Chodzi o publikacje zamieszczane w lepszych czasopismach znajdujących się na liście filadelfijskiej. Trudno się tam dostać, ponieważ do druku są przyjmowani tylko cytowani naukowcy (pisaliśmy na ten temat w MPW nr 4/2009). Lista funkcjonuje według ściśle określonych reguł. Nie ma większego znaczenia, czy ktoś dokona spektakularnego odkrycia. I tak może mieć olbrzymie kłopoty z wydrukowaniem swojej pracy, mimo posiadania kompetentnych recenzentów. Artykuł może po prostu nie zostać zrozumiany przez grupę profesorów decydujących o dopuszczeniu do publikacji. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś tego nie skrytykuje, czy później w ogóle zostanie zacytowane. Normą naukową staje

dologiczną działania głównie nauk społecznych, biologii oraz medycyny.

Jak to wygląda w praktyce? Decyzje podejmuje się na podstawie testowania hipotez za pomocą specjalnych programów komputerowych. „Hipoteza została potwierdzona. Lek przyjęto na podstawie badań statystycznych” – właśnie tak może to wyglądać. Jednak w wymienionych dziedzinach większość naukowców, jak uważa dr Urbański, podpira się statystyką nie do końca ją rozumiejąc. W programach statystycznych często pojawiają się kryteria „wysrane z palca”. Jednym z nich jest poziom ufności, dla którego opracowuje się odpowiednie przedziały lub też kryterium istotności testu. Podobnym prawom podlega określanie liczby zwierząt, które trzeba poświęcić do przeprowadzenia eksperymentów badawczych. Specjalne komisje, które prowadzą badania w dziedzinach wykorzystujących zwierzęta, ustalają, ile i jakiego gatunku zwierząt może być użytych w danym teście. Zakładają, że np. 6 zwierząt stanowi podstawę wystarczająco wiarygodnej próby losowej. Ze względów humanitarnych takie podejście jest słuszne, ale w praktyce oznacza, że naukowiec może wyznaczyć wszystko, co chce.

– *Tak nie powinno być* – twierdzi dr Urbański. – *Poza tym większość nie rozumie, na czym polegają testy. To jak strzelanie do jednej bramki...*

Hipotezy muszą być poprawnie rozważone, a jeśli ktoś formułuje zaledwie jedną, za którą dodatkowo kryją się duże pieniądze, to wówczas udowodni prawie wszystko. Nauka może stanowić „gigantyczną ściemę”, przy której paranauka to przysłowiowa „kropla w morzu”.

Wiele lat temu dr Urbański czytał artykuł napisany przez matematyka, poświęcony metodom statystycznym. Autor opracowania uważał, że 80–90% prac dotyczących głównie nauk społecznych i biologicznych, w

Na pograniczu

których użyto statystyki, była błędna. Istotnym problemem jest opracowywanie danych. Pod tym względem w fizyce jest trochę lepiej, ponieważ fizycy posiadają wystarczające podstawy, pozwalające im dobrze zrozumieć i wykorzystać tę dziedzinę badań.

Która lepsza?

Jednym z najważniejszych zagadnień statystyki jest wybór próby losowej. Żeby porównać dwie metody terapii – np. akupunkturę, uznawaną za jedną z dziedzin paranaukowych i medycynę naukową (zwaną również konwencjonalną) – niezbędne jest wykonanie tzw. podwójnie ślepej próby. Co zrobić, żeby wyeliminować placebo? Gdy do lekarza przychodzi pacjent, należałoby rzucić kością – ponieważ musi to być próba losowa, żeby wnioskowanie było poprawne – i przetestować na nim 5 możliwości: akupunkturę, medycynę naukową, placebo akupunktururowe, placebo naukowe, a na koniec powiedzieć mu, że nie będzie leczony. Próba losowa pozwala zobaczyć, co się dzieje w każdym z przypadków. Wymaga to jednak przeprowadzenia tysięcy

testów. Dr Urbański jest przekonany, że nikt takich badań nie zrobił, ponieważ medycy nigdy nie zgodzą się na oddanie swojego pacjenta konkurencji. Jako uzasadnienie podaje badania porównujące skuteczność lekarza i radiestety w wykrywaniu i leczeniu nowotworów. Zgodność diagnoz plasowała się na poziomie ponad 70%. To do-

Do analizy każdego zjawiska trzeba dobrać odpowiednią metodę badawczą. Tak samo jak fizycy do badania zjawisk fizycznych stosują operacje fizyczne, rozpatrywanie zjawisk parapsychofizycznych powinno odbywać się przez zastosowanie czynności poznawczych. Nie można badać metodą niezgodną z istotą zjawiska.

wodzi, że nie można odrzucić następującej hipotezy: lekarz się nie mylił, a radiesteta działał kompletnie losowo.

– *Ale tak samo – twierdzi – mogę udowodnić odwrotnie sformułowaną hipotezę, że to radiesteta się nie mylił, a lekarz działał przypadkowo. Można też sięgnąć głębiej i spróbować sprawdzić, jaka jest skuteczność diagnozy medycznej w świetle badań pośmiertnych.*

Tutaj najsilniejsza hipoteza będzie brzmiała: obie strony (radiesteta i medyk) mają po-

dobną liczbę prawidłowych diagnoz. Różnica jest jedna: rozpoznają z taką samą trafnością, ale trochę inne typy nowotworów. Dlaczego? Ponieważ niektóre wykrywa się bardzo łatwo, a z innymi są spore kłopoty. Dopiero po śmierci pacjenta anatom patologiczny może w pełni ocenić, z jakim typem nowotworu mieliśmy do czynienia. Tak czasami bywa i w związku z tym trafność diagnoz zazwyczaj będzie różna.

Trudno dociekać, co jest prawdą, a co nie. Spór pomię-

dzy nauką a paranauką czy też medycyną a paramedycyną będzie trwał bardzo długo. Nie ma odpowiedniej instytucji ani środków finansowych na przeprowadzenie badań masowych. To znaczy, jak przekonuje dr Urbański, można by było zrealizować takie przedsięwzięcie, ale nie w krajach bogatych. Tam nikt na to nie pozwoli. Medycyna naukowa wiąże się z dużymi pieniędzmi. Dlatego cały czas przekonuje pacjentów, że jest jedyną dopuszczalną metodą leczenia. I to sprzedaje. Natomiast w krajach biednych nie ma takiego problemu. Nikt tego nie kupi, bo nie ma pieniędzy, a dostępną formą kuracji są metody naturalne. Dlatego walka między medycyną naukową a nienaukową toczy się wyłącznie w krajach bogatych.

Obalony duet

Dr Urbański przez wiele lat był wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Psychotronicznego. W tym czasie współpracując z tą organizacją grupa osób usiłowała pilnować określonych standardów, czyli wprowadzić jakąś metodę.

Była ona prosta. Bioenergoterapeuta należący do towarzystwa zawsze przyjmował razem z lekarzem. Cel był taki, żeby doprowadzić do pewnej syntezy wiedzy. Dopóki było to możliwe, zbierano dane. Okazało się, że bioenergoterapeuta potrafi jedno, a lekarz trochę co innego. Wzajemnie się uzupełniali i to było bardzo pożyteczne. Dzięki temu można było na bieżąco sprawdzać skutki ich działania. Korzyść była obopólna. Prowadzono szkolenia dla lekarzy i bioenergoterapeutów, a pacjenci byli zadowoleni, ponieważ duet lekarz-bioenergoterapeuta podejmował dobre decyzje. Niestety, w pewnym momencie lekarz naczelny – dla dobra pacjenta – zakazał tego typu współpracy. To właśnie, podkreśla dr Urbański, jest często stosowaną metodą w decyzjach podejmowanych przez naukowców. Wszystko się skończyło, a bioenergoterapeuci zeszli do podziemia. Dzięki takiej sytuacji bez problemu można było wyłowić odpowiednią próbę statystyczną. Nie była ona losowa, tylko selekcyjowana. Łatwo udowodniono, że „podziemie” szkodzi, ponieważ do lekarza zawsze trafiają osoby, którym bioener-

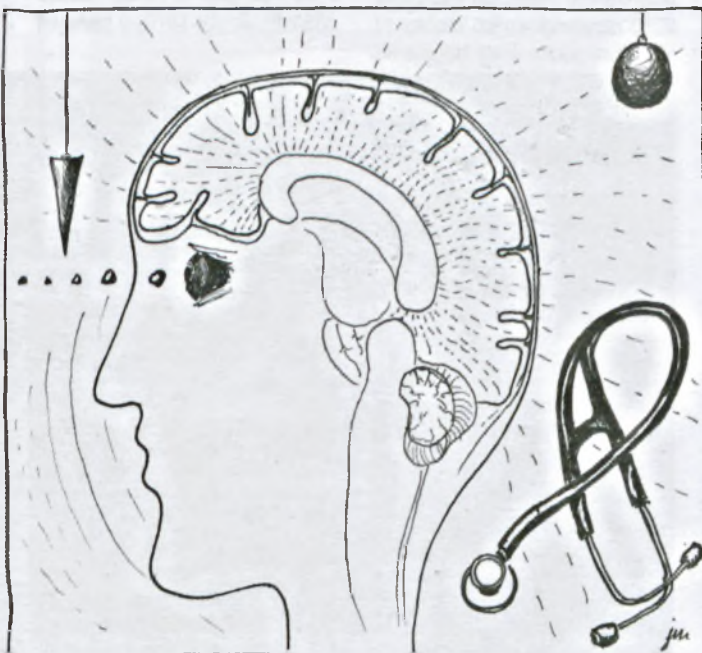
Żeby zostać kompetentnym badaczem zjawisk parapsychofizycznych, nie wystarczy przeczytanie kilku książek. Jest to pewna dyscyplina, która ma swoją historię, tradycje i metody badawcze. Trzeba je poznać i zrozumieć.

goterapia nie pomogła. O tych, którzy zostali dzięki niej wyleczeni, nie wie nikt.

A gdyby tak zwolennicy nauki i paranauki, biorący udział w toczących się dyskusjach, opanowali emocje i spojrzeli na problemy z trochę innej perspektywy? Być może mogliby wiele od siebie nawzajem się nauczyć...

Tekst i rysunki:

JOANNA MAJEWSKA



Wielkie poruszenie

Skąd w dzisiejszych koryfeuszach nauki ta pewność siebie i zadufanie, że wszystko, co dotąd odkryto, jest właściwie przyjmowane *a priori* za *constans*, wszystko zaś, czego jeszcze nie udowodniono – nie istnieje?

Na uczelniach kształcących przyszłych profesorów powinno wykladać się historię nauki, która to historia nie dość, że *magistra vita est*, to na dodatek niejednego mogłaby nauczyć należytej pokory wobec zjawisk, które – dziś nieuchwytnie – jutro legną u podstaw kolejnych, rewolucyjnych odkryć.

Skąd, pytając nadal, niewiara w bioterapię, dlaczego skreśla się z listy zawodów radiestetę i telepatę, skoro cały czas mówimy o przekazie energii, polu energetycznym, polaryzacji, elektromagnetyzmie oraz fotonach światła mających swoją zwrotność w relacji: zdjęcie osobnika – osobnik? Tu wciąż podawane są w wątpliwość osiągnięcia diody białego szumu w urządzeniu Quantec, reprezentującym gałąź przyszłej medycyny opartą na biokomunikacji kwantowej.

Skąd, drążmy konsekwentnie, akceptacja uznanych (przez kogo?), raczej więc nie mających wątpliwości, autorytetów i całkowity brak akceptacji dla tych, którzy te wątpliwości posiadają lub przedstawiają innym dowodnie to, o czym nikt jeszcze nie zaczął myśleć? Czyżby, wzorem Galileusza, lepiej kolektywnie się mylić, niż indywidualnie mieć rację? Tłumaczenie sentencji włoskiego uczonego Renesansu na współczesny język polski brzmi: „Lepiej się nie wychylać”. Zaś glosa do niego: „A jeszcze trochę profitów pociągniemy ze starego, bo (jak wynika z praktyki) wiele lat minie – nim nowe okrzepnie”. Czasem jednak wcale nie dochodzi do głosu. Max Planck, autor największego kłosa w fizyce (o czym za chwilę), stwierdził to wyraźnie mówiąc, że aby nowa prawda mogła przedrzeć się do ludzkiej świadomości, najpierw muszą wymrzeć przedstawiciele starej.

Zacznijmy jednak nie od Planka, ale od Galileusza właśnie.

Galileusz rusza Ziemię

24 lutego 1616 roku Urząd Świętego Officium zlecił kwalifikatorom wydanie opinii o dwóch tezach Galileo Galilei popierających teorię Mikołaja Kopernika o heliocentrycznym widzeniu Wszechświata.

(...) *Pierwsza teza: Słońce stanowi centrum świata i jest całkowicie nieruchome pod względem ruchów lokalnych...*

Cenzura: Teza ta została uznana jednogłośnie za bezsensowną i absurdalną z punktu widzenia filozoficznego i formalnie heretycką.

Druga teza: Ziemia nie stanowi centrum świata, ani nie jest nieruchoma, lecz obraca się zarówno wokół samej siebie, jak i ruchem dobowym.

*Cenzura: Jednogłośnie stwierdzono, że teza ta podlega tej samej cenzurze filozoficznej, z punktu zaś widzenia teologii, jest co najmniej błędem w wierze... (...)*¹

Następnego dnia główny inkwizytor oświadczył:

(...) *Jego Świątobliwość nakazał Panu kardynałowi Bellarmino wezwać rzeczzonego Galileo do siebie i upomnieć go, aby porzucił rzeczoną opinię; w przypadku odmowy posłuszeństwa, Komisarz ma mu nakazać, w obecności notariusza i świadków, aby powstrzymał się całkowicie od nauczania lub obrony tej opinii i doktryny, a nawet od dyskusowania jej; jeżeli nie zgodzi się on na to, należy go uwięzić (...)*²

16 czerwca 1633 roku papież Urban VIII wydał instrukcję dla Kongregacji Urzędu Świętego o następującej treści:

(...) *Sanctissimus rozporządził, że rzeczony Galileo ma być przesłuchany co do jego intencji, nawet z groźbą tortur, a jeśli ją podtrzyma, ma wyprzeć się podejrzewanej u niego herezji na plenarnym zgro-*

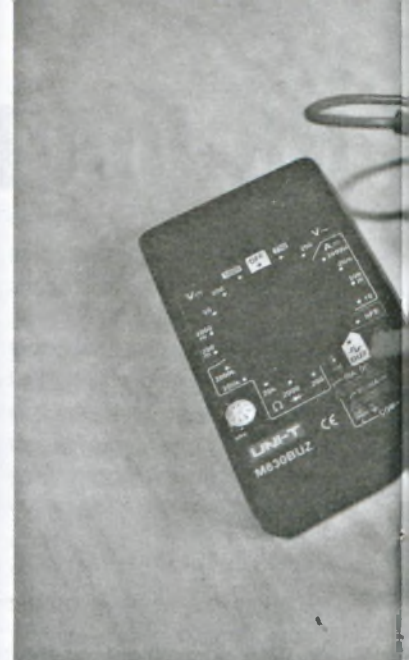
*madzeniu Kongregacji Urzędu Świętego, potem ma być skazany na uwięzienie według upodobania Świętej Kongregacji i należy mu rozkazać, aby nie rozprawiał nadal, w jakikolwiek sposób, ani w słowach ani w piśmie, o ruchomości Ziemi i stabilności Słońca, w przeciwnym wypadku narazi się na kary za recydywę. Książka zatytułowana „Dialogo di Galileo Galilei Linceo” ma być zakazana. (...)*²

W roku 1992, po 359 latach od tamtej chwili, papież Jan Paweł II powołał specjalną komisję, która oficjalnie zrehabilitowała Galileusza, przyznając pod koniec XX wieku (!!!), że „jednak się kręci”.

Kamyk rusza lawinę

Dalej brnąć w zadufanie uczonych mężów w rzeczy namacalne (czytaj: obserwowane za pomocą urządzeń pomiarowych dostępnych na danym etapie rozwoju) oraz rozumienie spraw w sztywnych ramach obowiązującego aktualnie paradygmatu (wszak innego być nie może) warto wspomnieć o nieśmiertelnej wpadce w XVIII wieku Akademii Francuskiej.

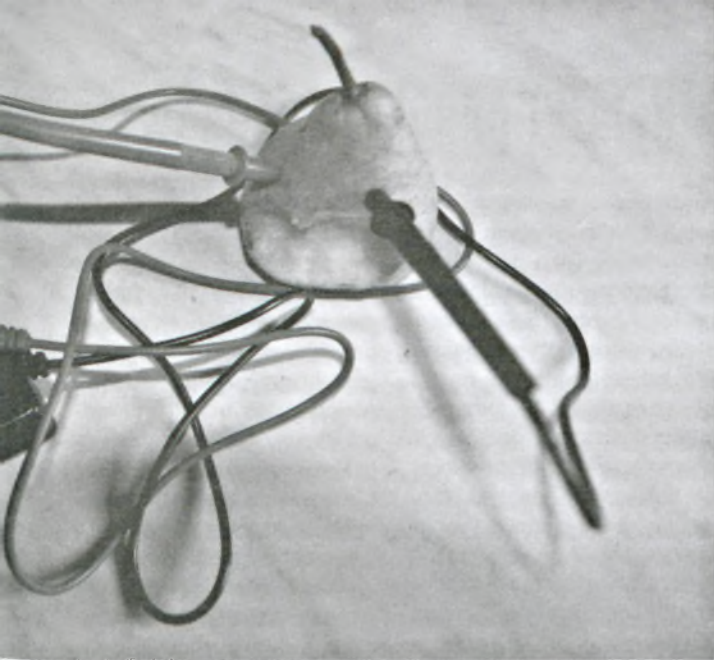
1 lutego 2060 roku w Ziemię może uderzyć pędząca z prędkością 28 km/s asteroida 2002 NT7. Może, ale nie musi. Prawdopodobieństwo jest mniej więcej takie, jak wygranie „szóstki” w totolotku. Zdarza się, ale nie każdemu. Gdybyśmy trafili tę „szóstkę”, możemy liczyć się z końcem istnienia naszej planety. Asteroida ma masę 8000 razy większą od meteorytu



tunguskiego i 2 kilometry średnicy. Niezły kamyczek. Podobne trafiały już w nasz glob, o czym świadczą rozmaite „wglębienia” na powierzchni Polski, oraz „doły” w dnach oceanów. Wedle niektórych teorii upadek na Ziemię jednego z takich „kamyków” przed 65 milionami lat spowodował gwałtowne wyginiecie dinozaurów. Kanadyjski badacz, Richard Grieve, obliczył, że od początku istnienia Ziemi uderzyło w nią około 1500 obiektów o średnicy przekraczającej kilometr. Dziś przyjmujemy takie enuncjacje ze stoickim spokojem. Fruwające nad naszymi głowami planetoidy są opisane i śledzone. Mamy odpowiednie narzędzia do obserwacji niebiańskich obiektów, a nawet potencjalne możliwości do zmiany ich trajektorii, gdyby istotnie zagrażały istnieniu Ziemi.

Ledwie 139 lat temu (już! 139 lat!), w roku 1870, w pewnym





gaskońskim miasteczku spadł z nieba deszcz kamieni (dziś rzekniemy – meteorytów). Mer miasta wystosował odpowiedni list do stolicy, do Francuskiej Akademii Nauk, list podpisany przez niego samego i 300 świadków. W liście tym uprzejmie donosił, że na teren miasteczka spadł z nieba wielki kamień. Naukowcy z prześwietnej Akademii, założonej w roku 1666 przez **Ludwika XIV** z inicjatywy **Jana Baptysy Colberta**, czytając ów list śmiali się do rozpuku z głupoty mieszkańców miasteczka, po czym (widać i wówczas obowiązywała zasada odpowiedzi na urzędowe listy) odpowiedzieli odwrotną pocztą, że „kamienie z nieba spadać nie mogą, gdyż w niebie nie ma kamieni”. Jakież to proste! Idąc dalej: samolot nie może latać, ponieważ jest cięższy od powietrza, „Titanic” musiał zatonać, ponieważ był cięższy od wody. I tak dalej, i tak dalej. Nie wypada wyśmiewać

się z mniejszego spectrum poznania naszych antenatów – wszak takie były możliwości nauki. Zawsze jednak wyżej będą przedkładał otwartość i konkretność **Pitagorasa**, który – dysponując znakomicie mniejszym bagażem doświadczeń, jakie przez następne stulecia „uzbierała” Akademia Francuska – stwierdził: „Dajcie mi punkt podparcia – a podważę Ziemię”. Replika na to dictum przedstawicieli Akademii Francuskiej z XVII w, a śmiem twierdzić, że i późniejszych (także współczesnych) naukowców brzmiałaoby pewnie: „Ziemi podważyć się nie da, ponieważ Ziemia nie da się podważyć”. Pewnie istotnie się nie da, ale dwa i pół wieku wcześniej uważano także, że nie da jej się wprawić w ruch. Każde sztywne założenie cugli nauce, cugli nazywających się: „tego się nie da zrobić”, jest obrazą dla świątlich i kreatywnych umysłów. I, jak w dowcipie: potem przychodzi jakiś idiota, który nie wie o tym, że „tego się nie da zrobić” i... to robi.

Planck rusza Newtona

Im bliżej współczesności, tym odpór rozmaitym reformom naukowym i próbom zmiany dotychczas obowiązującego newtonowskiego paradygmatu – większy. Newton na przełomie XVII i XVIII wieku był niemal bogiem, rządził fizyką i każde przeciwstawienie się jego myśli było traktowane jako naukowa herezja, a jego autor skazany na środowiskowy ostracyzm.

Max Planck, niemiecki fizyk, pierwszy wpadł na pomysł (który potrzebny był mu do udowodnienia zupełnie innej teorii i jako jedyny

dawał taką możliwość), że energia istnieje w postaci małych, niepodzielnych porcji. Te niepodzielne porcje – to kwanty. Wymyślił to sobie po prostu, ponieważ nic innego nie tłumaczyło jego teoretycznych rozważań związanych z teorią atomową, której był przeciwnikiem, twierdząc uparcie – jak inni – że materia jest ciągła. Kwanty z jego punktu widzenia były jedynie teoretyczną sztuczką i matematycznym trikiem.

Planck, tradycyjny wyznawca paradygmatu newtonowskiego, paradoksalnie stał się naukowcem, który próbując dowieść, że atomowy model materii nie pasuje do zasady wzrostu entropii, stanął po drugiej stronie barykady i położył podwaliny pod teorię kwantów.

I teraz fizycy, a i sam Planck również, nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tą „ziarnistością” energii.

Zawisła sobie w powietrzu, a potwierdził ją dopiero w kilka lat później **Einstein**, który poważnie podszedł do „tricku matematycznego” Plancka i dodając do niego ideę **Thomsona**, że światło ultrafioletowe padające na powierzchnię metalową wzbudza emisję elektronów, wykalkulował w genialnym umyśle, że światło istotnie musi składać się z kwantów, małych pocisków, które przy uderzeniu w elektron przekazują mu swoją energię. Energia powstała po takiej wymianie stanowi energię kinetyczną wyrzuconego elektronu. Każdy kwant światła wyrzuca tylko jeden elektron. Całe rozumowanie okazało się kluczem do zrozumienia zjawiska fotoelektrycznego, skwantowanej energii promieniowania.

Za ten wywód Einstein także dostał Nobla i formalnie uznano go za właściwego ojca kwantów, a w każdym razie za tego, który je sobie „wychował” i podporządkował. Nobla dostał jednak dopiero 16 lat później. Zaś jeszcze kolejnych paru lat trzeba było, żeby świat nauki zaakceptował ideę o energii w drobnych porcjach. To i tak szybko, zważywszy, jak mocną pozycję miał boski, newtonowski, dotychczas obowiązujący paradygmat, który w tej kwestii powiadał jednoznacznie, że materia składa się – owszem – z cząstek, natomiast energia jest ciągła, światło jest falą,

zaś materia i światło nie mieszają się ze sobą.³

Wiele współczesnych odkryć powstaje na bazie teorii. Do praktycznego badania zjawisk tzw. subtelnych wciąż brak człowiekowi przyrządów. Stąd może tak łatwo jest nie dopuszczać ich istnienia do świadomości. Nie widzimy – nie ma. Nie ma – nie istnieje. Ani kwant energii, ani teleportacja (wciąż nie wierzą, że w roku 1998, w Caltech, zespół pod kierunkiem **Kimble’a** teleportował kompletną cząstkę), ani radiestezja, ani telepatia, ani homeopatia. Dopóki prowadzą nas swoim światłem wyświetlacze diodowe (do niedawna jeszcze wskazówki odchylające się od wartości zerowych), jesteśmy w stanie coś dostrzec. Kiedy tylko dioda nie zapala się – zjawiska nie ma. I nie przeszkadza, że obserwujemy ewidentne jego efekty: dioda się nie pali – fume, nic.

Coda

Mały chłopiec wykopał nad brzegiem oceanu duży dół w piasku. Potem wziął łyżkę, którą w czasie obiadu sciągnął zapewne ze stołu w pensjonacie i podbiegł do wody. Nabrat jej na łyżkę i wrócił na brzeg, by wlać do wykopanej dziury. Za chwilę powtórzył to samo. Bawił się tak do chwili, kiedy rodzice zaczęli się zbierać do powrotu.

Wtedy nadszedł ten Człowiek. Pochylił się nad malcem i zapytał:

– Co czynisz?

– *Chcę przelać ocean do mojego dołu* – odpowiedział chłopczyk.

– *Choćbyś robił to przez całe życie, nie uda ci się tego dokonać* – zapewnił go nieznajomy.

Znacie to?

Ale potem było inaczej.

Chłopiec zapytał:

– *Dlaczego, proszę pana?*

– *Bo nie masz odpowiednich narzędzi, przyjacielu...*

I na tym poprzestałmy, przyjaciele.

JĘDRZEJ FIJAŁKOWSKI

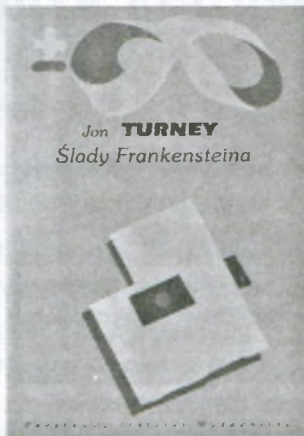
Fot. Michał Leśniewski

¹ „Sprawa Galileusza”. Wybór i redakcja J. Życiński, Wyd. Znak.

² „The crime of Galileo”, G. de Santillana, Time Inc., New York 1962, s. 130 – WIKIPEDIA.

³ W oparciu o książkę: „Teleportacja”, David Darling.





Dlaczego opowieść o sztucznie powołanym do życia monstrum określa, według Jona Turneya, całość działań nauki wieku XX? Wszak ludzkości od zawsze towarzyszyło pragnienie powoływania do życia nowych organizmów bez udziału tak zwanych sił wyższych. Ślady tego znajdziemy w literaturze – i tak chociażby słynny doktor Faust nie oparł się chęci panowania nad ludzkim życiem. Jednak w przypadku książki Mary

Książki popularnonaukowe

więziami ciała, ofiarami chorób i śmierci, dlatego pożądamy mocy, jaką może nam dać biologia, aby uwolnić się od tego brzemienia”. Turney śledzi historię dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej nauki, pokazując, jak reformował się nasz stosunek do nowych osiągnięć w dziedzinie biologii nuklearnej, genetyki, medycyny, fizyki jądrowej i wielu innych. Aby w sposób zrozumiały zilustrować czytelnikowi skomplikowany proces asymilowania nauki z potrzebami tzw. zwykłych ludzi, Turney często odwołuje się do podobnych „Frankensteinowi” prac strictly literackich, które kształtowały nasze myślenie o przyszłym, fantastycznym świecie, w którym biologia zostanie całkowicie okiełznana. Dlatego w książce sporo miejsca poświęcił m.in. pracy Aldousa Huxleya – „Nowy, wspaniały świat”. Jeden z głównych motywów książki, czyli produkcja dzieci z pro-

bówek, która budziła i budzi sporo kontrowersji, okazał się bowiem pomysłem nie tak abstrakcyjnym. Turney jawi się tutaj jako entuzjasta nowych osiągnięć w nauce, jednak przypomina też, że podobnie jak bohater powieści Shelley, tak i świat z dzieła Huxleya wskazują na wiele niebezpieczeństw związanych z wykorzystaniem ludzkiego potencjału wiedzy.

„Ślady Frankenstein” to ciekawe omówienie wielu publikacji, badań i odkryć istotnych dla wieku XX. Autorowi udało się zatem w sposób obiektywny przedstawić na obszernym materiale dowodowym, jak radziliśmy sobie z odkryciami naukowymi, ale i jak potężnym zjawiskiem jest strach przed nowym.

JOLANTA GOMÓŁKA

Jon Turney, *Ślady Frankenstein*. Tłum. Marta Wiśniewska. PIW, Warszawa, 2001.

Mity i rzeczywistość

Manipulowanie genami ludzkimi bądź zwierzęcymi to domena naszych czasów. Kiedy w roku 1818 Mary Shelley, młoda dziewiętnastoletnia pisarka, opublikowała powieść „Frankenstein”, niewiele wskazywało na to, że historia dziwnego i niebezpiecznego stwora, ożywionego przez doktora Wiktora Frankenstein’a z części martwych ciał, stanie się symbolem dzisiejszych dążeń w genetyce i biologii.

Shelley mamy do czynienia z bodaj jednym z pierwszych przedstawień powołania do życia organizmu, lecz bez wpływu sił pozaziemskich, alchemii lub innych czarów. To nauka miała pozwolić na stworzenie potwora. Wszystko to opiera się zatem nie tylko na wrodzonej człowiekowi ciekawości i ekspansywności w dążeniu do zdobywania wiedzy, ale przede wszystkim na bardzo oczywistych przesłankach: „Zawsze byliśmy

Lektura nieobowiązkowa

W jednym z supermarketów obserwowałam kiedyś taką scenę: sześćo–siedmioletni chłopiec stał z mamą w kolejce do kasy. Z częstotliwością co pół minuty wrzucał do koszyka słodczyce z pobliskiego stojaka. Mamusia zrobiła srogą minę i rzekła: „Kochanie, jeżeli chcesz wziąć kolejną rzecz, wpiersz musisz z czegoś zrezygnować”. Chłopiec na to: „Yhm... A czy możemy zrezygnować z kurczaka?” Pomyślałam wtedy, chichocząc: scena jak z „Mikołajka”!

„Nowe przygody Mikołajka”, z mistrzowskimi ilustracjami Jeana Jacquesa Sempégo, są lekturą więcej niż obowiązkową. Nic bowiem tak nie poprawia humoru, jak te na pozór skromne opowiadania o kilkulatku, który z bandą kolegów, w nader typowej szkole francuskiej lat pięćdziesiątych, w jeszcze bardziej sztampowej rodzinie, po prostu sobie żyje i opowiada o

swoich przygodach w taki sposób, że trudno powstrzymać się od ciągłego chichotu.

Mikołajek widzi świat w dość radykalnych barwach, nie zaprząta sobie głowy skomplikowanymi charakterystykami kumpi: Euzebiusz jest silny i jak coś się mu nie spodoba, daje fanę w nos, Alcest ciągle je i jest gruby, Ananiasz

wkuwa i podlizuje się pani oraz płacze na zawołanie, Jaddwinia jest fajna i Mikołajek się z nią ożeni. Jest też pan Rosół, nauczyciel, który swój pseudonim zawdzięcza ciąglemu powtarzaniu uczniom: „Spójrzcie mi w oczy”, a w rosole są oka... No i są rodzice. Mama jest dobra, ale ciągle zdenerwowana, bo czasami tata jest zbyt apodyktyczny. A na dodatek często wychodzi

na durnia, co go frustruje. W domu, kiedy rodzice czegoś Mikołajkowi zabraniają, często wybuchają drobne kłótnie, które najczęściej kończą się łzami i tym, że Mikołajek krzyczy, że ucieknie z domu, na pewno umrze i wszyscy będą go żałować! W ostateczności, kiedy życie wydaje się Mikołajkowi wyjątkowo wredne, mówi: „No bo co, kurczę blade, to niesprawiedliwe!” Najpiękniej ową niesprawiedliwość ilustruje opowiada-



No bo co, kurczę blade!

nie „Śliczny króliczek”, przy którym wpadłam w nerwowe drgawki... ze śmiechu, choć trochę gorzkiego śmiechu.

Bo cała seria „Mikołajka” to nie tylko opowiadanka dla dzieci, to genialny obraz relacji pomiędzy dziećmi a ich rodzicami, to także całkiem sensowny portret socjologiczny przeciętnej rodziny. Portret na tyle uniwersalny, że w zależności, na jakim etapie życia wrócimy

do przygód Mikołajka, możemy w bohaterach Goscinnego odnaleźć postać bliską naszemu sercu, ale i zobaczyć nasze przywary.

JOLANTA GOMÓŁKA

René Goscinnny & Jean-Jacques Sempé, *Nowe przygody Mikołajka*. Tłum. Barbara Grzegorzewska. Wyd. Znak, Kraków, 2005.



01.06.2009 r. portal „Wirtualne Polska” przytoczył wywiad z Laurentem Cohenem, francuskim neurologiem. Dotyczył on mowy małp i próby odpowiedzi na pytanie – dlaczego ludzie, jako jedyny gatunek na Ziemi, posiadł taką zdolność. Zdaniem naukowca, odpowiada za to genetyka. W latach pięćdziesiątych Keith i Catherine Hayes, przeprowadzili doświadczenie, w którym próbowali wychowywać szympansa o imieniu Viki razem z własnymi dziećmi. Miało to na celu między innymi naukę mowy. Niestety, nic z tego nie wyszło. Małpa pozostała małpą, bez względu na środowisko, w którym się wychowywała. Obecnie prowadzone są zaawansowane badania, które mają ustalić, jakie geny odpowiadają za mówienie. Na „stół” wzięto osoby mające problemy z wykształceniem tej cechy. Przełom w badaniach został dokonany dzięki rodzinie pod kryptonimem KE, u której trzy pokolenia mają problem z nauką mowy. Na podstawie porównania wykazano, że odpowiedzi należy szukać w dość rozległym obszarze chromosomu 7. Kolejny przełom nastąpił za sprawą innego pacjenta, wykazującego te same zaburzenia co państwo KE, ale wskutek wypadku genetycznego zupełnie innej natury – pęknięcia chromosomu 7. Pozwoliło to zlokalizować pęknięcie w genie noszącym nazwę FOXP2. Badając ten gen u państwa KE, można było stwierdzić, że u nich wykazywał on lekką mutację. Co dzień naukowcy dokładają kolejną cegiełkę w drodze do znalezienia odpowiedzi na pytania związane z mową. Możliwe, że już niebawem nastąpi cud, a niemowli przemówią.



Komputery usprawniły naszą pracę. Jest to fakt, któremu zaprzeczać mogą jedynie głupcy. Jednak w połączeniu z ogromnym postępem technologicznym, dały one też ludziom niesamowicie skuteczne sposoby szpiegowania i inwigilacji. Artykuł na ten temat możemy znaleźć w czerwcowym „Focusie”. Autor podaje w nim przypadek małżeństwa z Teksasu, która – próbując uregulować zaległy rachunek na karcie kredytowej – popadła w konflikt z prawem i została oskarżona o terroryzm. Notabene chodziło o kwotę 6,52 dolara. Transakcja została wychwycona przez system bankowy, jako nie pasująca do wizerunku obywatela na emeryturze. Można by się z tego śmiać, ale parze z Teksasu na pewno do śmiechu nie było. Po wydarzeniach z 11 września 2001 roku, w USA zaostrzono monitoring społeczeństwa. W Stanach Zjednoczonych już w latach osiemdziesiątych Departament Sprawiedliwości śledził poczynania obywateli za pomocą programu Promis. Okazuje się, że jest to łatwiejsze, niż można by przypuszczać. Monitoring miast, bardzo popularny ostatnio, na pewno pozwala utrzymać bezpieczeństwo, ale „przy okazji” daje możliwość śledzenia. Nasze telefony komórkowe, ciągle łączące się z siecią, to kolejna informacja, gdzie się znajdujemy. Gdy wchodzimy do firmy albo z niej wychodzimy, czytnik kart sprawdza nasz identyfikator. Kamery obserwują, jak pracujemy, a komputer obsługiwany przez nas, jest cały czas monitorowany. Programy śledzą, jakie strony otwieramy i czy przypadkiem nie instalujemy zabronionego programu. Informatyk siedzący przed swoim panelem administracyjnym, może skanować zawartość naszego PC, tworzyć kopie e-maili lub kontrolować wszystkie komputery w firmie. To niesamowita władza i pole do popisu. Do tego należy dołożyć ciągle polepszający się i zmniejszający sprzęt audio i wideo, czyli kamery i mikrofony. Ich jakość i miniaturyzacja są już na takim poziomie, że bez specjalnego sprzętu ciężko je wykryć. A mogą znajdować się wszędzie. Oczywiście najgorszym wyjście jest popadanie w paranoję. Warto jednak niekiedy zastanowić się, jak odwrotnie proporcjonalnie zwiększa się nasze bezpieczeństwo i zmniejsza prywatność. Okazuje się, że dla własnej wygody i poczucia „bezpieczeństwa” jesteśmy w stanie zgodzić się na ogromne obostrzenia i utratę intymności. Czy aby scenariusz „Matrixa” nie staje się coraz bardziej prawdopodobny?

Oprac. zibi

Przeczytane w prasie

Z Oficyny Wydawniczej PW

Monografia jest poświęcona transportowi osób niepełnosprawnych, a w szczególności mechatronicznemu wózkowi inwalidzkemu, zdolnemu pokonywać przeszkody. Praca została sfinansowana ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (dotacja dla PW na realizację tematu *Koncepcja, badania, prototyp – mechatronicznego wózka inwalidzkiego nowej generacji*).

Praca jest dokumentacją działań zespołu zaangażowanego przy projektowaniu nowej konstrukcji wózka. Została ona napisana przez kilku autorów: lekarza, konstruktora, ergonomistę, specjalistów od dynamiki i symulacji komputerowej. Ten wybór był świadomy, gdyż chodziło o spojrzenie na problem z różnych perspektyw.

Autorzy skupili się na problemach związanych z budową innowacyjnych wózków inwalidzkich z napędem elektrycznym, pokazując różne ich funk-



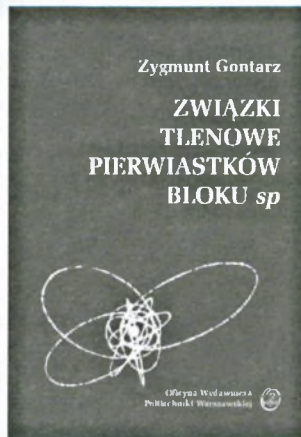
cje. Poruszyli zagadnienie ergonomii i „filozofii” projektowania, opisali badania eksperymentalne oraz podali akty prawne i normy, dotyczące transportu osób niepełnosprawnych.

Praca pod redakcją Włodzimierza Choromańskiego, *Transport osób niepełnosprawnych – wózki innowacyjne dla osób z upośledzonym układem ruchowym*

Chemia związków tlenowych stanowi pierwotną i do dziś podstawową część chemii nieorganicznej. Tlenkami oraz użyskiwaniem z nich metali zajmowano się już w zaraniu cywilizacji, a wzmianki o związkach tlenowych (węglanach sodu i potasu) znaleźć można między innymi w Biblii. Na podstawie licznych, dokonanych w ciągu wielu stuleci obserwacji zachowania się połączeń tlenowych i ich relacji z metalami, sformułowano w XVII wieku

pierwszą ogólną teorię chemiczną, którą była *teoria flogistonu*. Koncepcja flogistonu upadła ponad 200 lat temu, wkrótce po odkryciu tlenu, w wyniku dokonanej przez Lavoisiera prawidłowej interpretacji ilościowej zjawiska spalania jako reakcji z tlenem.

W książce przedstawiono podstawową wiedzę chemiczną z zakresu połączeń tlenowych pierwiastków bloku sp w roztworach wodnych i fazy stałej. Połączenia tlenowe porządkowano z zastosowaniem klasyfikacji morfologicznej Górskiego, co pozwoliło na pokazanie wszystkich prostych połączeń tlenowych pierwiastków, a także prawidłowości w zakresie ich struktury oraz ich reaktywności. Książka jest cenną pomocą dydaktyczną dla studentów wydziałów chemicznych uniwersytetów i politechnik oraz wydziałów farmacji i chemii spożywczej.



Zygmunt Gontarz, *Związki tlenowe pierwiastków bloku sp*

Współcześni Indianie

Dwie bramki, kijo-rakiety, gumowa piłka, ochraniacze jak w hokeju, dwudziestu graczy i zasady pozwalające na kontakt fizyczny. Kto zgadnie, o czym mówię? To lacrosse, dyscyplina mająca początki w czasach, gdy nie było jeszcze Stanów Zjednoczonych, a ziemią tą władali Indianie.

W Polsce lacrosse zaczyna się dopiero rozwijać. Idzie podobnym szlakiem, jaki przed kilkoma laty obrał futbol amerykański, zdobywający coraz większą popularność w kraju nad Wisłą. O lacrosse dowiedziałem się z reportażu zrealizowanego przez Telewizję Politechniki Warszawskiej, dotyczącego Pierwszego Ogólnopolskiego Turnieju w tej dyscyplinie. Odbył się on 28 marca na obiekcie Ośrodka Sportu i Rekreacji Bemowo. Wzięły w nim udział trzy istniejące w Polsce drużyny: Poznań Hussars, Kosynierzy Wrocław i Grom Warszawa. Mimo że sport to moje życie, nigdy wcześniej o lacrosse nie słyszałem. Co więc wtedy się robi? – włącza się komputer i przegląda informacje na ten temat. Tak trafiłem na forum lacrosse, gdzie udało mi się odnaleźć **Piotra Stelmacha**, studenta piątego roku Wydziału Mechatroniki. Okazało się, że jest on jednym z założycieli dru-

żyny Grom Warszawa. Na spotkanie ze mną Piotr przyszedł ubrany na sportowo – dzierżył w dłoni dwa kije zakończone główkami oplecionymi siatką.

Indiański skalp

Historia lacrosse zaczyna się na kontynencie Ameryki Północnej.

– *Znalazłem gdzieś informację, że już w XI wieku w Meksyku uprawiano sporty podobne do lacrosse* – mówi Piotr. – *Następnie przewędrowały dalej na północ i znalazły uznanie w oczach Indian północnoamerykańskich.*

Lacrosse (fr. la crosse – zakrzywiony kij) Europejczycy po raz pierwszy zobaczyli w XVII w. Gra była dla Indian tym, czym pięciobój antyczny dla starożytnych Greków. Miała wymiar religijny i duchowy. W indiańskiej wersji w lacrosse grały dwie drużyny z różnych plemion. Zespoły potrafiły liczyć czasem po kilkuset, a nawet po tysiąc za-

wodników. Mecze trwały kilka dni, od świtu do zmroku, a „boisko” ciągnęło się przez kilkanaście kilometrów. Za bramki służyły drzewa lub skały. Gra była brutalna – imitowała prawdziwą wojnę, a czasem ją zastępowała, gdy trzeba było rozstrzygnąć mniej ważny spór. Oryginalna nazwa lacrosse brzmiała odmiennie w różnych indiańskich językach. Onondaga, wywodząca się z plemienia Irokezów używała nazwy „dehuntsigwa'es” co oznaczało – „mężczyźni uderzają okrągły obiekt”. Czirokezi mówili da-nah-wah'uwsdi, czyli „mała wojna”. Ciekawe określenie na lacrosse miały plemiona Odżibwe, zamieszkujące obszar Wielkich Jezior. Używali oni nazwy „baggattawag”, co w ich języku oznacza „uderzają pośladek”.

Pierwszymi Europejczykami, którzy zetknęli się z lacrosse, byli francuscy osadnicy. W roku 1856 zasady gry zostały skodyfikowane przez **George'a Beersa**, założyciela pierwszego klubu na świecie, Montreal Lacrosse Club. Gra szybko zdobywała zwolenników, a na początku dwudziestego wieku była także włączona do programu igrzysk olimpijskich.

Lacrosse charakteryzuje się wielką dynamiką. Precyzyjne podania, błyskawiczne kontrataki, akrobatyczne zwody i wyszukane sposoby na zmylenie bramkarza – to tylko część zalet tego sportu. Ta dyscyplina łączy w sobie taktykę i swobodę koszykówki, prędkość i

dynamikę hokeja, fizyczność i kontaktowość futbolu amerykańskiego, a mimo to pozostaje całkowicie unikatowa. Mówi się o niej „najszybszy sport na dwóch nogach”. I nie ma w tym przesady.

Drużyna lacrosse składa się z bramkarza i po trzech obrońców, pomocników i napastników. Nadal używa się metrowych kijów zakończonych siatką (niektórym kojarzącą się z siatką do łapania motyli albo podbierakiem do ryb). Gra się niewielką, około sześciocentymetrową gumową piłką, którą należy wrzucić do bramki. W lacrosse dopuszczony jest kontakt pomiędzy graczami, z tego też względu, aby zwiększyć bezpieczeństwo gry, wprowadzono ochraniacze na górną część ciała: rękawice, natokietniki, naramienniki oraz kaski. Gra w lacrosse ma kilka odmian, ale najciekawsze rozgrywki odbywają się na trawie i na dużym boisku, na którym wystawia się aż dziesięciu zawodników.

Gromowładni

Pojechał, zobaczył, zdobył. Tak zaczyna się historia lacrosse w Polsce. W roku 2006 student poznańskiej Akademii Ekonomicznej, **Błażej Piotrowski**, wybrał się na wakacje do USA w ramach programu Work and Travel. Z ciekawości poszedł na jeden z meczów amerykańskiej ligi lacrosse. W Stanach sport ten jest bardzo popularny, szczególnie w szkołach, gdzie obecnie gra ponad 100 tysięcy zawodników. Spodobało mu się i wracając do kraju zabrał ze sobą kilka raket, piłek i rękawic. Po powrocie skrzyknął kilku znajomych i zaczęli ćwiczyć. W grudniu 2007 roku oficjalnie powstał pierwszy w Polsce klub lacrosse – Poznań Hussars. Chwilę później pojawił się klub we Wrocławiu. 17 kwietnia 2008 roku rozegrano pierwszy mecz lacrosse w Polsce. Kosynierzy Wrocław i Poznań Hussars zremisowali ze sobą 5:5.

– *Od najmłodszych lat fascynowała mnie kultura Indian* – mówi Piotr Stelmach. – *Poprzez przygody Tomka i inne powieści Alfreda Szklarskiego często przenosiłem się wyobraźnią w tamte czasy, w dzikie przestrze-*



nie Ameryki Północnej. Jednak dopiero teraz, gdy kończę studia, natknąłem się na fascynujący sport, który przypadł mi go gustu. Nigdy nie byłem sportowcem, ale bierność i siedzący tryb życia znudziły mi się. Poza tym to kapitalne uczucie, że tworzy się coś oryginalnego, nowego, pionierskiego, zupełnie od podstaw.

Piotrek szukał czegoś dla siebie. Koszykówka, siatkówka i inne dyscypliny nie interesowały go. Trafił w telewizji na mecz lacrosse, a potem z cie-

Grom, którą można zarówno łączyć z elitarną jednostką wojskową o tej samej nazwie, jak i z mitycznymi „Ptakami gromu”, które migrowały nad Ameryką Północną razem z potężnymi burzami. Początkowo trening polegał głównie na rzucaniu do siebie i rozgrywaniu meczów między sobą. Dużo się zmieniło, gdy do zespołu dołączył trener **Glen Gregory**, Amerykanin mieszkający od kilkunastu lat w Polsce, a ostatnio w Warszawie. Przebywając we Wrocławiu trafił na

mickich sport rozwija się najlepiej. Rejestracja klubu pozwoli wreszcie założyć Polski Związek Lacrosse, co umocni pozycję tej dyscypliny w kraju.



Pod koniec marca Grom Warszawa był organizatorem pierwszego ogólnopolskiego turnieju. Wystartowały w nim wszystkie trzy drużyny. Mecze – gościnnie



kawości zajął do internetu, żeby więcej dowiedzieć się o dyscyplinie. Tu znalazł, świeżo wtedy powstałe, forum lacrosse utworzone przez poznaniaków i wrocławian. Na nim poznał **Karola Dubrawskiego**, studenta Wydziału Administracji i Nauk Społecznych PW, który jako pierwszy chciał założyć drużynę w stolicy. Razem zamówili sprzęt w Stanach Zjednoczonych.

– To była droga przez mękę – wspomina Piotr. – Najpierw zostałem oszukany i w ogóle nie dostałem sprzętu. Za drugim razem przyleciała tylko część zamówienia. Pierwsze porządne kije otrzymaliśmy od Europejskiej Federacji Lacrosse.

Piotr i Karol skrzyknęli kilku znajomych i rozpoczęli treningi. Drużyna obrała nazwę

rynek, gdzie jego oczom ukazał się niecodzienny widok. Na kamienistej nawierzchni kilku chłopaków rzucało do siebie piłkę z wykorzystaniem kijów do lacrosse. Zaciekawiony podpytał graczy o ten sport w Polsce. Tak dowiedział się o zespole z Warszawy i nawiązał kontakt z Piotrkim i Karolem. Od końca kwietnia drużyna trenuje na boisku szkolnym przy ulicy Spartańskiej i cieszy się coraz większym zainteresowaniem.

Obecnie Piotrek i Karol rejestrują drużynę w Biurze Sportu w Warszawie. Jest więc szansa, że znajdą się pieniądze na rozwój lacrosse w stolicy. Drugim miejscem do rozwoju mogłaby być uczelnia – taka jak Politechnika Warszawska. Należy pamiętać, że w USA właśnie w ośrodkach akade-

– sędziował **Christian Arnold**, trener drużyny University College Dublin, który jeździ po Europie i pomaga nowo powstającym ekipom.

– Zawodnicy z Polski, mimo że trenują od niedawna, grają ostro i z meczu na mecz coraz lepiej – mówi Christian Arnold po zakończeniu turnieju. – Myślę, że nie można ich lekceważyć.

Za rok odbędą się mistrzostwa świata. Jest szansa, że Polacy w nich zadebiutują. Może będą wśród nich gracze Gromu Warszawa, studijący na Politechnice Warszawskiej?

– Kto wie? – mówi Piotr. – Cały dzień trzeba przebywać z rakiętą i kołyskować, żeby ją czuć. Najważniejszy jest jednak trening, na który wszystkich serdecznie zapraszamy.

Tekst i zdjęcia: ZBIGNIEW ZAJĄC

Druga strona medalu

Co robicie, gdy widzicie biegających ludzi po parku? Pukacie się w czoło. Znaczy – jesteście typowymi Polakami. Słońce, deszcz, śnieg, a oni nie mają co robić, tylko biegają. Znikomy jest też procent bywalców siłowni i sal fitness. Co wy na to? Mówicie – to żalosne. Zamiast siedzieć w domu i oglądać TV, chcą się męczyć, mimo że nikt im nie każe. Na stadiony nie chodzimy, bo tam kibole, do hal też nie, bo duszno. Zapominamy, że kultura fizyczna jest nam bardziej potrzebna niż jakakolwiek inna kultura.

Gdy się rodzimy, nasze pierwsze sukcesy to podnoszenie główki i trzymanie jej sztywno, przekręcanie się na brzuszku, wreszcie raczkowanie i chodzenie. Nasze ciało rozwija się. Aparat ruchu zdobywa coraz większe możliwości. Mięśnie zaczynają reagować. Potem tylko od nas zależy, czy pozostawimy organizm samemu sobie, czy pomożemy mu się rozwijać. Ciągłe slychać, że Polki brzydziej się starzeją i chorują. Zmarszczki są nieuniknione, ale dlaczego większość ma problemy z nogami bądź kręgosłupem?

Sami jesteśmy sobie winni. Siedzący tryb życia, jazda samochodem do kiosku po gazetę nie sprzyjają rozwojowi fizycznemu. Poza tym w Polsce nie ma kultury sportu i – nie bójmy się tego mówić otwarcie – jesteśmy „asportowi”. Należy się cieszyć, gdy media pokazują aktorów, polityków uprawiających sport. Szkoda tylko, że tak rzadko i że odbieramy to jako ich promocyjną kampanię.

Polska to smutny i chory kraj. Chcemy być zdrowi i wiecznie młodzi, a odbieramy sobie najłatwiejszą drogę do tego celu. Chcemy, żeby nasze dzieci były sprawne i zarabiały na nasze emerytury, a wychowujemy je w domu przed telewizorem. Tak się nie da. Czas przestać milczeć, czas wyjść pobiegać. Im więcej to uczyni, tym więcej będzie szczęśliwych. Trzeba jeszcze kilku pokoleń, żeby zmiana się dokonała.

Na szczęście widać światło w tunelu. To ciągle rosnąca liczba imprez masowych i coraz większa liczba startujących w nich osób. Szkoda, że tych masówek brak na Politechnice Warszawskiej. Jedyna taka odbywa się 15 listopada z okazji Dnia PW, gdy jesień prześciga się z zimą.

A może by tak coś na wiosnę i lato? Może jakieś Grand Prix uczelniane w biegach?

Prasa akademicka pisze...

„Życie Uniwersyteckie” – miesięcznik wydawany przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w numerze kwietniowym 2009 roku w cyklu „Z przeszłości” zamieszcza publikację dr Danuty Płygawko z Instytutu Historii UAM o tym, jak doszło do powstania paryskiego pomnika Adama Mickiewicza.

– W końcu kwietnia minęło 80 lat od odsłonięcia w Paryżu na Placu Alma pomnika patrona naszego uniwersytetu. Istotną rolę w realizacji tego przedsięwzięcia odegrał profesor Stefan Tytus Dąbrowski związany z uczelnią od 1921 roku, a w latach 1945–1946 jej rektor – pisze autorka. Przy okazji przypomina, że pierwszy pomnik wieszca odsłonięto w Poznaniu w roku 1859, następne m.in. w Krakowie w roku 1898, w Warszawie, we Lwowie w 1904 i ostatni w Nowogrodzku w 1992.

Idea postawienia pomnika w Paryżu narodziła się na przełomie 1908 i 1909 roku, a pomysłodawcami byli członkowie Komitetu Francusko-Polskiego (Comité Franco-Polonais), zajmującego się propagowaniem polskiej kultury we Francji. Zadanie nie było łatwe, bo chodziło nie tylko o zgromadzenie funduszy i zjednanie przychylności rządu francuskiego, związanego od roku 1894 aliansem z Rosją, ale też o uzyskanie od władz Paryża odpowiedniej lokalizacji. Komitet budowy pomnika powołano w marcu 1909 roku. Na jego czele stanął profesor Sorbony Ernest Denis. Wśród członków honorowych znaleźli się m.in. Ignacy Paderewski i Henryk Sienkiewicz. Wykonanie powierzono rzeźbiarzowi Émile’owi Antoine’owi Bourdelle’owi.

– Jakież oddźwięk znalazł Komitet we mnie, gdy polecił mi przygotować plan pomnika Adama Mickiewicza! Długo patrzyłem w siebie, by znaleźć kształty tej postaci odartej i jakby spadłej z nieba swej ojczyzny. Tego rycerza wiary, który umarł – wygnaniec – zwiastować swoim i światu, że Polska zmartwychwstanie – wspominał artysta na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” swoją pracą nad posągami.

Całkowity koszt wycenił na 80 000 franków. Zdobycie takiej sumy nie było łatwe. Na pomnik składali się m.in. mieszkańcy Warszawy i Lwowa. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę rozpoczęto też starania o dotację rządową. W roku 1925 parlament uwzględnił w budżecie taką pozycję.

Propozycji lokalizacji było kilka.

– Twórca widział jego miejsce na skrzyżowaniu bulwarów Montparnasse i Raspail. Dziś stoi tam pomnik Honoriusza Balzaka dłuta Augusta Rodina. Lokalizacja pomnika Mickiewicza w Paryżu na Placu Alma rozstrzygnięta się w 1927 roku – pisze dr Danuta Płygawko i dodaje: – 28 kwietnia 1929 roku w obecności rodziny Mickiewicza, ambasa-

dora Alfreda Chłapowskiego, korpusu dyplomatycznego i zgromadzonej publiczności odsłonięto pomnik. Wszyscy zobaczyli dzieło Émile’a Antoine’a Bourdelle’a – kolumnę, na której stoi Adam Mickiewicz – pielgrzym. U jej podstawy artysta umieścił pięć płaskorzeźb, inspirowanych dziełami poety. Na szóstą, centralną wyrzeźbił trzy kobiety, symbolizujące części Polski rozdarte przez zaborców. Pod kapitelem kolumny wznosi się anioł z mieczem w rękach – polska Epopeja Obrony.

Pomnik oczywiście stoi w Paryżu do dziś, tyle że w marcu 1958 roku, z powodu budowy tunelu pod Placem Alma, przesunięto go o kilkadziesiąt metrów w aleję Cours la Reine biegnącą wzdłuż Sekwany.

„Przemat” – pismo informacyjne Politechniki Wrocławskiej z maja 2009 roku zamieszcza ciekawą publikację o charakterze historycznym, zatytułowaną „Kuznia kadr inżynierskich dla niepodległej Polski”, autorstwa Marka Buraka. Rzecz dotyczy Politechniki Lwowskiej.

– Spośród niewielu szkół o profilu technicznym, powstałych na terenie trzech zaborów lwowska szkoła działała najdłużej i najwcześniej została wyposażona jako wyższa uczelnia w możliwości dostosowywania własnego programu nauczania do osiągnięć czasów, w których przypadło jej funkcjonować. Placówką, która mogła stanowić poważniejszą konkurencję dla lwowskiej uczelni, był uruchomiony w Warszawie w 1898 roku rosyjski Instytut Politechniczny im. cara Mikołaja II. Na warszawskiej uczelni, już jako Politechnice Warszawskiej, wykładowy język polski został jednak wprowadzony dopiero w okresie niemieckiej okupacji miasta – w 1915 roku – rozpoczyna się publikacja.

Jaka była geneza powstania Politechniki Lwowskiej? Otóż w roku 1868 zostały wprowadzone zmiany w konstytucji monarchii austro-węgierskiej, które umożliwiły galicyjskiemu Sejmowi Krajowemu podjęcie próby utworzenia narodowej uczelni technicznej. 26 sierpnia 1871 roku cesarz wydał zgodę na przekształcenie działającej tu od 1844 roku niemieckiej Akademii Technicznej w szkołę z polskim językiem wykładowym. Powstała ona po wieloletnich staraniach w roku 1877. Nosiła nazwę „C.K. Szkoła Politechniczna” i miała status szkoły wyższej. Przy okazji warto przypomnieć, że oficjalną nazwę „Politechnika Lwowska” wprowadzono dopiero w roku 1921, aczkolwiek używano jej, nawet w literaturze, już dużo wcześniej.

C.K. Szkoła Politechniczna była drugą – po czeskiej Politechnice w Pradze – uczelnią techniczną, w której wykładano w języku narodowym. Poza nimi funkcjonowały cztery politechniki niemieckie – w Wiedniu, Pradze, Grazu i Brnie.

Stosowanie języka polskiego jako wykładowego miało nie tylko znaczenie emocjonalne, ale także duże znaczenie praktyczne. W roku akademickim 1893/1894 w C.K. Szkole Politechnicznej studiowały 254 osoby, z czego 242 deklarowały narodowość polską. W roku akademickim 1905/1906 przyjęto 1325 studentów, wśród których było 1095 Polaków.

– W warunkach galicyjskich obecny na wszystkich poziomach edukacji młodzieży język niemiecki był powodem stosunkowo niewielkiego zainteresowania nauką w rodzimych szkołach. Wybierano po prostu studia w renomowanych niemieckojęzycznych uczelniach na terenie Austrii lub Niemiec – pisze autor i dodaje, że wprowadzenie języka polskiego jako wykładowego przyciągało – oprócz miejscowej galicyjskiej młodzieży – także Polaków z innych zaborów, szczególnie z Królestwa Kongresowego. Liczba „Królewiaków” wzrosła wyraźnie po rewolucji 1905 roku (i zamknięciu Warszawskiego Instytutu Politechnicznego w efekcie strajków studentów, żądających wykładania i nauki w języku polskim – przyp. red.), by w roku 1913 osiągnąć poziom 34% studiujących. Najmniej studentów pochodziło z zaboru pruskiego – przed wybuchem I wojny światowej było ich zaledwie kilkunastu.

Program nauczania, wzorowany na funkcjonującej od roku 1855 Politechnice w Zurychu, opierał się na czterech wydziałach: Inżynierii, Architektury, Mechaniki i Chemii, ale był poszerzany o elementy oryginalne.

– Taki charakter miał zorganizowany w 1907 roku Wydział Hydrotechniczny, pierwszy tego rodzaju w wyższym szkolnictwie technicznym na terenie Austro-Węgier – pisze Marek Burak i dodaje, że bardzo wysoki poziom reprezentowali fizycy i chemicy, a także konstruktorzy z Wydziału Mechaniki. Jeden z nich, prof. Ludwik Eberman, był twórcą silników wykorzystywanych w łodziach podwodnych w czasie I wojny światowej.

Prawo nadawania stopni doktora nauk technicznych przyznano C.K. Szkole Politechnicznej w roku 1901, a do roku 1918 przeprowadzono ok. 50 egzaminów doktorskich.

– U progu niepodległości i w pierwszych latach wolnej Polski kadra naukowa lwowskiej uczelni zasilila inne uruchamiane szkoły wyższe, a zwłaszcza powstała w 1915 roku Politechnikę Warszawską. W 1915–1919 w Warszawie znalazło zatrudnienie czterech profesorów i docentów wywodzących się z lwowskiej uczelni, a w latach 1919–1928 – sześciu uczonych. W tym samym okresie przedstawiciele nauki ze Szkoły Politechnicznej we Lwowie organizowali również katedry powstałego w 1919 roku Uniwersytetu Poznańskiego oraz powołanej w tym samym roku Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – pisze autor.

Rozrywkowo



Pod koniec maja wszyscy spragnieni muzyki typowo rozrywkowej zagranej na wysokim poziomie, mogli delektować się utworami w wykonaniu politechnicznej orkiestry The Engineer's Band z udziałem wielu zaproszonych wokalistek. Koncert odbył się w ramach cyklu „Wielka Muzyka w Małej Auli”.

Tekst i zdjęcia: mile

PW w zbliżeniu



Jedna z dwóch bram prowadzących na teren „studni” Domu Studenckiego „Babilon” Politechniki Warszawskiej, znajdującego się przy skrzyżowaniu ulic Kopińskiej i Białobrzzeskiej.

Tekst i zdjęcie: zibi